

Cena 19 000 zł



Nr 3 (27) Jesień 1994

ISSN 1232-9207

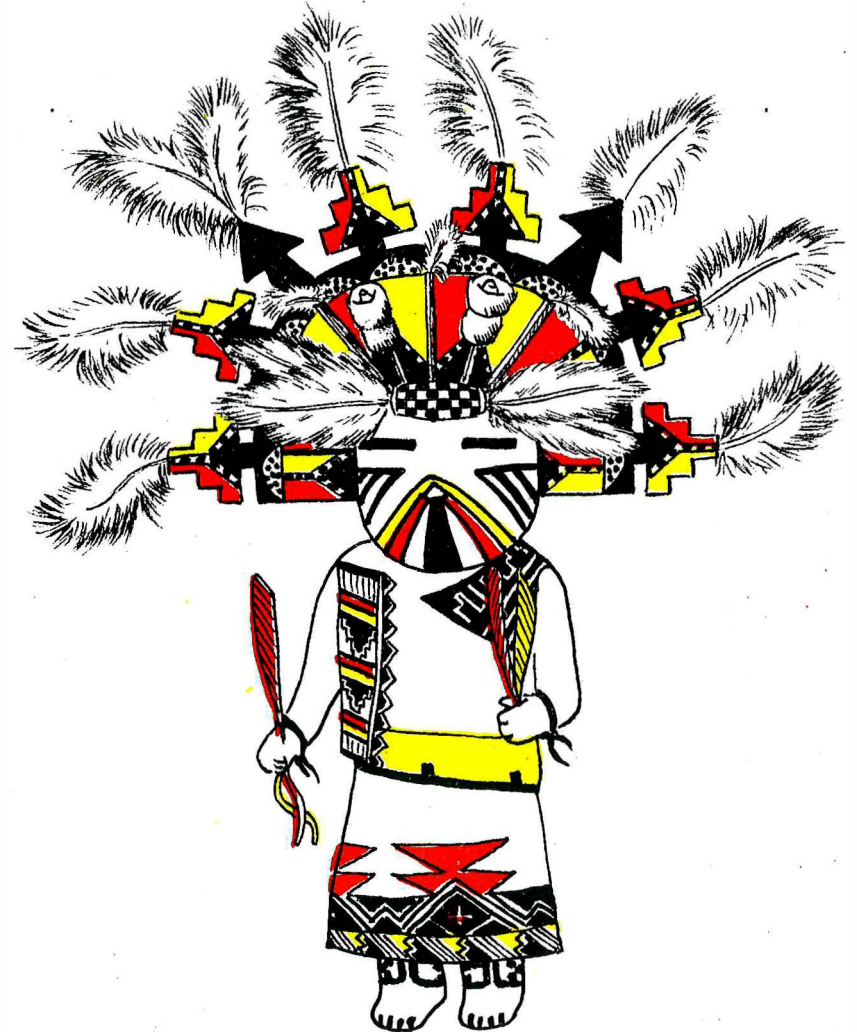
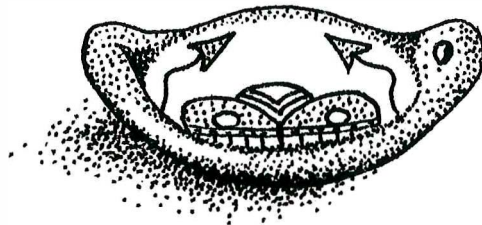
Irene Nakai (Nawaho)

Opowieść o świerszczu: wiosna 1978

Razem z młodszą siostrą, Eilene wpatrywałyśmy się z zachwytem w kwitnącą pustynię kwiatów w ogrodzie szarych skał, rozciągającym się niedaleko Kenneth Bi Dził. Usłyszałyśmy świerszcza i zaczęłyśmy go szukać. Siedział pod grubym szarym *tsé' úwozí*. Dziwne, że też mu się chciało cykać w tej popołudniowej gorąccze późną wiosną.

Eilene podniosła kamień ze świerszczem. Świerszcz był czarny i błyszczący. Wystawiony na światło – naszym wtargnięciem („wybacz nam”) – przestał śpiewać i biegał dokoła szukając cienia. Eilene zrobiła mu daszek. Świerszcz nabrał powietrza i podjął swój śpiew na nowo.

Czasami widuję czarnego błyszczącego świerszcza, jakby przygotowującego się do zaśpiewania pierwszej nuty pieśni tworzenia, kiedy w ciemnym bezkształtnym kosmosie każdy czeka, wtedy on swym cykaniem obwieszcza *K'iz...* coś się dzieje. Stajemy się! *Nahak' ízil*.



W wielu publikacjach poruszana jest wciąż aktualna i bardzo ważna dla świata ochrona życia na ziemi. Nie jesteśmy więc jedynymi, ale ze względu na charakter naszego pisma przedstawiamy indiańskie rozumienie sposobu życia. „Duchowe drogi Hopiów” Davida Monongyego to artykuł, dzięki któremu można lepiej zrozumieć ich styl życia i duchową postawę widoczną w każdej dziedzinie życia, od religijnych ceremonii poczynając, poprzez życie społeczne, aż po konflikty polityczne, o czym świadczy chociażby artykuł Trebbe Johnson „W trosce o ziemię”.

Kit Carson to jeden z najbardziej znanych bohaterów amerykańskiego Zachodu i krąży o nim – jak o każdym bohaterze – wiele mitów i legend.. Jak był naprawdę? Na to pytanie stara się odpowiedzieć Robert M. Utley w odczycie wygłoszonym na sympozjum zorganizowanym przez Kit Carson Historic Museum w Taos.

Dział Ameryki Południowej, jak widać, cały czas się powiększa. Redaguje go Roman Bala. W tym numerze piszemy o desperacji Indian Guarani z Brazylii, którzy w obliczu nieustannej utraty ziemi zagrozili popełnieniem zbiorowego samobójstwa. I jeszcze wywiad z Maurycją Castro o tubylcach Hondurasu, o których mówi się i pisze tak niewiele.

Niedźwiedź



Ukazuje się: w marcu, czerwcu, wrześniu, i grudniu Redaguje zespół: Wiesław Karnabal (redaktor naczelny), Marek Maciołek i Marek Nowocień Stale współpracują: Roman Bala, Marek Cichomski, Wiesław Kołeczek, Maciej Lewandowski, Aleksander Sudak i Mirosław Sulgostowski Adres redakcji: Dąbrowa, ul. Szkolna 9, 62-069 Pałędzie Wydawca: TIPI s.c. ul. Łąkowa 3, 64-050 Wlelichowo Druk: Zakład Usług Poligraficznych WI-MARK, Kallisz ul. Czereśniowa 10

W tym numerze:

POŁUDNIOWY ZACHÓD:

Duchowe drogi Hopiów – mówi David Monongye

W trosce o ziemię – nowa aktywność Hopiów Apacze, Dan Thrapp i ja – wspomnienie

Aleksandra Sudaka o wielkim historyku Wyprawa Nany – fragment *The Conquest of Apacheria* Dana L. Thrappa

Indianin na śniadanie – Kit Carson dawniej i dziś w eseju Roberta M. Utleya

Havasupal – Ludzie błękitno-zielonej wody w reportażu Andrzeja Pankall

IAIA – Instytut Sztuki Indian Amerykańskich w Santa Fe

wiersze Luci Tapahoneo (Nawaho)

AMERYKA POŁUDNIOWA:

Raczej samobójstwo niż wygnanie – o determinacji brazylijskich Guaraniów

To jest nasza walka – wywiad z Maurycją Castro o tubylcach Hondurasu

Korek w Darién – o brakującym odcinku Szosy Panamerykańskiej na granicy Panamy i Kolumbii

Serwis Informacyjny z dżem Indian

Wczesne dzieciństwo – fragment opowieści Czarnego Łosia, wizjonera Lakotów

O chlorach i jadowitym towarzystwie – korespondencja Jacka Piwowskiego z Montany

Pięć powodów, dla których warto pisać do gazet – doradza Marek Nowocień

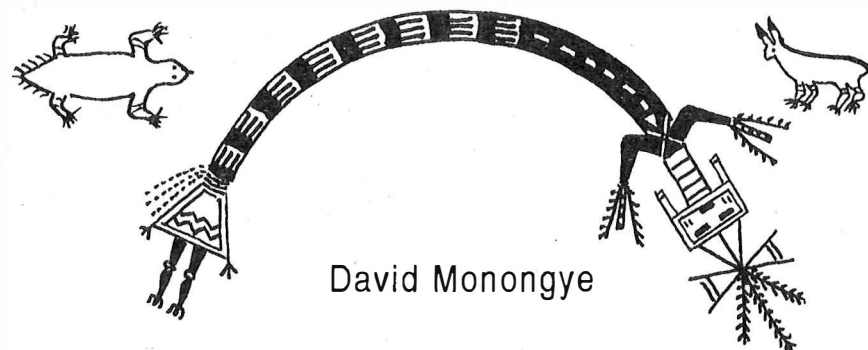
Znani i nieznan – Walapal, Wenrochronon i Manso

a także listy, książki i Zwierzona Cięnia

Fotografia na stronie 15: © Gary Rumack

Na okładce: Tancerz-kaczyna w stroju obrzędowym. Rys. Niedźwiedź.

Na IV str. okładki: wiersz Irene Nakal, zaczerpnięty z antologii *The South Corner of Time. Hopi Navajo Papago Yaqui Tribal Literature*. Edited by Larry Evers (University of Arizona Press, Tucson 1980). Przełożył Marek Maciołek.



David Monongye

Duchowe drogi Hopiów

Składamy szczerze błogostawieństwo za tę nadarzącą się okazję i głębokie podziękowanie za wasze zaproszenie do podzielenia się naszym rozumieniem życia na ziemi, od czasów zamierzonych po dni, jakie są jeszcze przed nami.

Wiemy bardzo dobrze, że najcenniejsza droga życia może opierać się tylko na duchowej podstawie, na wierności wobec prawdziwej religii swej własnej kultury. Przez tysiące lat Hopiowie podążali według tego wskazania i przetrwali do dzisiaj na dowód prawdy i mocy drogi życia, opartej raczej na duchowych siłach niż na pełnych przemocy formach kontroli.

Nie bez powodu otrzymaliśmy takie imię. *Hopi* oznacza *pokoju*. Odnosi się to do Prawa Stwórcy i sposobu życia. W naszym społeczeństwie, ci którzy łamią zwyczaj – traktowane jako część naturalnego porządku – nazywani są *Ka-hopi*, co znaczy źle wychowani, niegodziwi lub destrukcyjni...

Abyś mógł lepiej zrozumieć nasz tradycyjny styl życia i jego znaczenie

w całym życiu na ziemi, przesyłamy poniższe obserwacje. Gdybyś miał okazję osobiście odwiedzić nasze wioski, mógłbyś zauważyć zmiany, jakie ostatnio zaszły, i ocenić, która wioska zdoła przetrwać te wielkie zmiany, jakie dopiero nastąpią.

Religia (*we-me*) jest wielce szanowana przez Hopiów. Jej tajemnice są ściśle chronione. Tylko członkowie religijnych stowarzyszeń znają dokładnie przebieg swych poszczególnych rytuałów. Wiele z nich odprawia się skrycie wewnątrz *kluy* danego stowarzyszenia, miejsca kultu zbudowanego częściowo pod ziemią. Każdy obrzęd wpisany jest w doroczny cykl pół roku. Wszelkie działania, pieśni i tańce, wchodzące do tego cyklu, pomagają utrzymać ziemię w równowadze, zwłaszcza warunki atmosferyczne potrzebne w każdej porze. Wilgoć i ciepło na wiosnę i lato są najważniejsze do uzyskania dobrego plonu, a także dla zdrowia i szczęścia wszystkich żyjących istot. Hopiowie powierzają swe modlitwy wszystkim ludziom – co ilustruje fakt, że nigdy nie żądają od widzów opłat za wstęp – wiedząc, że zawsze znajdzie się wśród nich parę osób o dobrych sercach, które będą się modlić razem z nimi. Modlący się widzowie wspomagają obrzęd mający sprowadzić obfitość deszczu i pożywienia.

Duchowość postrzegana jest w czterech aspektach: mądrość i wiedza (*na-vo-de*), przykazania (*du-da-vo*) prorocтво i ostrzeżenia (*ma-kus-da-da-vo*) i wierzenia (*dup-tseu-nee*). Jeśli ktoś ma oczy, uszy i otwarty umysł, może uczyć się z materiałów pisanych, ale najlepsza nauka płynie z ust mądrych starców, a także z ziemi i natury. Nasz normalny proces uczenia się został mocno zakłócony przez obce koncepcje, narzucone nam siłą. Mimo to ci, którzy zachowują szacunek i powagę wobec rozumienia naturalnej drogi widzą, że Religia i Duchowość to najważniejsze składniki na dobre, długie życie.

Duchowe Centrum: Hoplowie mówią o życiu w duchowym centrum ziemi. Opisują ziemię jako cętkowanego jelonka, a każda cętka ma określoną moc. Co to oznacza i na czym to polega? Czy eksploatowaliśmy ziemię, żeby się o tym dowiedzieć? Na jakiej podstawie opieramy swe roszczenia do całej ziemi na tym kontynencie?

Do dziś Hoplowie wiedzą, że ta ziemia prawie im się należy. Dawno temu, poprosiliśmy Wielkiego Ducha, Massau o zgodę na zamieszkanie tutaj z nim. Massau jest strażnikiem tej ziemi. Nie wdarliśmy się bezprawnie na ten teren jak zrobili to nowi przybysze. Pozwolił nam zostać tutaj i pełnić rolę strażników; dał nam imię *Hopl* powierając świętą kamienną tablicę, która stanowi nasze prawo własności do tej ziemi. Mamy to prawo jedynie pod warunkiem, że będziemy opiekować się nią dla wszystkich ludzi i wszelkich żyjących istot. Dał nam także ostrzeżenie, że jeśli odstąpimy od stylu życia, jaki nam wyznaczył, to stracimy tę ziemię.

Zachowując jego przykazania powędrowaliśmy na wszystkie strony tej ziemi, pozostawiając domostwa, skały pokryte malunkami i inne świadectwa naszej obecności jako tajemniczy opiekunowie i symbol naszych roszczeń. Dlatego na każdym miejscu sialiśmy duchowe nasiona, aby wszędzie dotrzeć i się przemieszać. Domy zawsze składały się z dwóch lub trzech pięter. Świątynie służą za miejsce kontaktowania się z poszczególnymi bóstwami o ochronę.

W jednym miejscu zostawiliśmy przez wiele lat, aż zgromadziliśmy wystarczający zapas żywności do odbycia następnego etapu naszej wędrówki, nigdy nie zapominając o swej misji. Jedne klany poruszały się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, inne w stronę przeciwną, zachowując dzień odstępu między sobą. Nasze przeznaczenie zostało określone zanim wyruszyliśmy: spotkamy się z Massau by otrzymać ostatecznie przykazania.

Po wielu wiekach wędrówki, dotarliśmy do tego miejsca, które jest dziś naszym stałym domem. Tutaj posadziliśmy najbardziej święte rośliny, których korzenie miały połączyć się z wszystkimi innymi, jakże się tu znajdują, żeby uczynić ziemię użyteczną. Miejsce to zwane było pierwotnie *Stp-Orabl*, czyli solidny fundament.

Świątynie znajdowały się daleko w każdej stronie świata, nie jako słupki graniczne, ale strażnice posiadające świętą moc. Ci, którzy je profanują, czy w jakikolwiek sposób przeciwstawiają się mocom, jakże są z nimi związane, rzucają klątwę na siebie. Dlatego obszar ten został przygotowany pod sanktuarium nieustannej odnowy życia na ziemi. Idąc za wskazówkami Massau pomogliśmy dopełnić to duchowe centrum.

Wemy, że ziemia Hopiów nie jest jedynym duchowym centrum na ziemi. Stwórca wyznaczył też inne miejsca – dzięki tym, którzy podążali za jego wskazaniem na innych ziemiach – mające służyć jako sanktuaria w czasie wielkiej przemiany świata w przyszłości. Ich korzenie można odnaleźć w pradawnej wiedzy prowadzącej w te miejsca.

Przepowiedziano, że w tym czasie, ludy tubylcze zejdą ze swych pierwotnych ścieżek, przyjmując obce koncepcje. Ich religijna i duchowa wartość zostanie zburzona aż po fundament. Ich język, kultura i tożsamość przepadną. Gdy to się stanie, będzie zaledwie parę osób posiadających mądrość i wiedzę starszych. Jeśli będą mieli szczęście, zejdą się razem, zbiórą pradawną wiedzę, jaką zapamiętali, i wyruszą na poszukiwanie korzeni, pozostawionych przez Hopiów, aż znajdą ten najważniejszy.

To, co wtedy się stanie, będzie źródłem wielkiego szczęścia dla wszystkich, a zwłaszcza dla tych, którzy w ciągu wieków zachowywali pierwotną drogę, którzy zostaną uhonorowani za wytrwanie pomimo nacisku sił z zewnątrz. Gdy jednak upadną i ci – obwieszczony zostanie wielkie oczyszczenie przez siły natury w celu odnowienia planu Stwórcy.

Ten uniwersalny plan jest bardzo jasny, ale ludzie często odwracają się od niego i nie chcą mówić o jego realności z obawy, że zostaną posądzeni o straszenie piekłem i że tracą szacunek u ludzi. Jednak to naprawdę jest rozwiązanie, dzięki któremu Stwórca uporządkuje świat. Hoplowie nie dyskutują z tym planem, gdyż nie stawiamy się wyżej od Stwórcy. Nie mamy żadnej potrzeby mówić dokładnie, jak będzie przebiegać to oczyszczenie. Stwórca dysponuje siłami natury wykraczającymi poza arsenały, jakie zgromadzili ludzie na swą samozagładę.

My, Hoplowie czekamy, gdyż wiemy, że żadna siła ludzka nie powstrzyma tego, co zrobi Stwórca. Ci z nas, którzy służyli destrukcyjnym siłom poprzez swój styl życia, odbiorą należną im karę za stracenie z oczu jasnej ścieżki Stwórcy. Żadne nieubłagane przeznaczenie nie czeka nas, jeśli nie zachowaliśmy się jak dzieci i nie bawiliśmy się zabawkami destrukcji. Jeśli tak, musimy stawiać czoła temu, co nas czeka.

Hoplowie przypatrują się pilnie każdej kolejnej odsłonie przemian świata, wiedząc kiedy zrobić kolejny krok, zgodnie z przykazaniami. Gdy więc przepowiedziana „tykwa z popiołami” została zrzuciona na Japonię, z której zginęło wielu ludzi, Hoplowie przekazali swe posłanie do świata*, aby ostrzec, że nie trzeba stosować pokazu sił. My wiemy, że każda próba kontrolowania czy podbicia świata przyczynia się tylko do jego zniszczenia. Tak po prostu jest. Możemy to ostrzeżenie wykorzystać dla swego dobra, albo też potraktować jako straszenie piekłem, jak kto woli.

Nasi prorocy ostrzegali, że w tym miejscu ci, którzy nie zważają na to ostrzeżenie i dalej wykorzystują swą rozwiniętą techni-

kę do zdobycia jeszcze większej broni i większej kontroli nad naturą, sprawią wielki ból zarówno ziemi, jak i życiu. Ci ludzie nie mają żadnego rozumienia, wierzą za to w siły swych umysłów i postępują jakby należeli do wyższej rasy. Zabawiają się gromadzeniem majątku poprzez chytrą, a nawet zdradę, składając fałszywe obietnice w ramach swej władzy. Kto wie, do czego będą zdolni w tym odurzającym stanie!

Może jest jeszcze czas na przebudzenie tych sprowadzonych na manowce i zapobieżenie nieszczęściu. Nauczyliśmy się od naszych przodków, że modlitwy ludzi są tak potężne, że mogą decydować o przyszłości życia na ziemi. Możemy wybrać, czy wielkie cykle natury będą przynosiły dostatek czy klęskę. Tę siłę wykorzystywano już dawno temu, gdy nasze duchowe myśli były jednością. Czy ta koncepcja podziela w erze odrzutowców?

Nie bądźmy zniechęceni. Oczyszczyć swe umysły ze złudzeń. Pozbądźmy się nienawiści i napełnijmy się miłością. Połączmy się razem z odnowioną wiarą w naszego Stwórcę, aby oszczędzono nam destrukcji, która pochodzi z pokładania ufności w broni i innych wymysłach naszych mózgow, i nie zapominajmy o przyszłości naszych dzieci i jeszcze tych nienarodzonych.

Tłumaczenie Marek Maciołek

* Mowa o tzw. „Liście do prezydenta Trumana”, jaki wodzowie Hopiów i tradycyjni przywódcy wystosowali w marcu 1949 roku, wzywając do odnowy wartości religijnych, przestrzegania praw natury i zaniechania gromadzenia arsenałów broni. W latach następnych przywódcy Hopiów zwracali się z podobnymi apelami także do Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Jest to posłanie Davida Monongye, duchowego przywódcy Hopiów z wioski Hotevilla na Trzeciej Mesie do Dalaj Lamy, wystosowane w październiku 1982 roku podczas Międzynarodowych Targów Książki we Frankfurcie. Tekst posłania zaczerpnięto z książki Roberta Boissiere'a *The Return of Pahana. A Hopi Myth*. [Bear & Company Publishing, Santa Fe, New Mexico 1990. Copyright © 1990 by Robert Boissiere]. Nadesłał Andrzej Żwawa.

W TROSCE O ZIEMIĘ

Nowa aktywność tradycyjnych Hopiów

Horyzont jest bardzo daleko. Setki mil na południowy zachód, przez piaskowy płaskowyż koloru kukurydzy docieramy do San Francisco Peaks, do miejsca, gdzie rezydują *kacziny*, duchy niewidzialnej energii życia, kiedy nie krążą jako zamaskowani tancerze wśród wiosek Hopiów. Błękitne, śniegiem pokryte góry podobne delikatnym miniaturom, stworzonym ręką jubilera, wznoszą się pod niebieskim sklepieniem nieba.

Jednak oczy Daltona Taylora nie podziwiają widoków. Zsunawszy znoszoną czapkę baseballową na tył głowy, marszczy brwi gdy spogląda w dół na głęboką wyrwę wydartą ziemi, na obszarze większym niż akr. Jest to najbardziej widoczna blizna, pozostawiona przez przedsiębiorstwo Blazze Construction Company z Albuquerque, które zmuszono do opuszczenia tego miejsca, po tym jak Taylor z paroma innymi mieszkańcami wioski Hopiów, Shungopavi, podjął pewne radykalne (ich zdaniem) kroki celem obrony ziemi, która jest żywa w ich duchowej tradycji.

Choć bezpośrednie zagrożenie już minęło, problem daleki jest od rozwiązania. W gruncie rzeczy cały ten incydent to typowy przykład braku porozumienia między wieloma autonomicznymi wsiami w indiańskich rezerwach północno-wschodniej Arizony, a zorganizowaną na wzór białych proreformatorską radą plemienia Hopi. Wystąpienie Shungopavi postawiło pytanie, czy przypadkiem Hopiowie, dla których poszanowanie ziemi jest świętym obowiązkiem, nie będą zmuszeni do skorygowania swych utrwalonych przez wieki poglądów na metody użytkowania i ochrony ziemi.

Obecne kłopoty rozpoczęły się w listopadzie 1988 roku, kiedy rada plemienna Hopi zaaprobowala umowę między wsią Sipaulovi a Blazze o naprawę dróg na dwóch z trzech wysokich *mes* (płaskowyżów),

gdzie rozlokowane jest dwanaście wiosek Hopiów niczym wyrobiska skalne. Kierownik rozwoju gminy Shungopavi, Keith Secakuku dowiedział się o proponowanej umowie na pół godziny przed postawieniem jej pod dyskusję rady. Zawładomili Taylor i obaj pospieszyli do oddalonej o dziesięć mil siedziby rady w Kykotsmowi, gdzie starali się przekonać przedstawicieli, że ziemia ta jest dla nich święta i bardzo ważna dla odbywającego się co dwa lata Obrzędu Węża, który kultywuje już tylko Shungopavi. Pomimo interwencji, projekt przeszedł jedenastoma głosami przeciwko dwóm i z dwoma wstrzymującymi się.

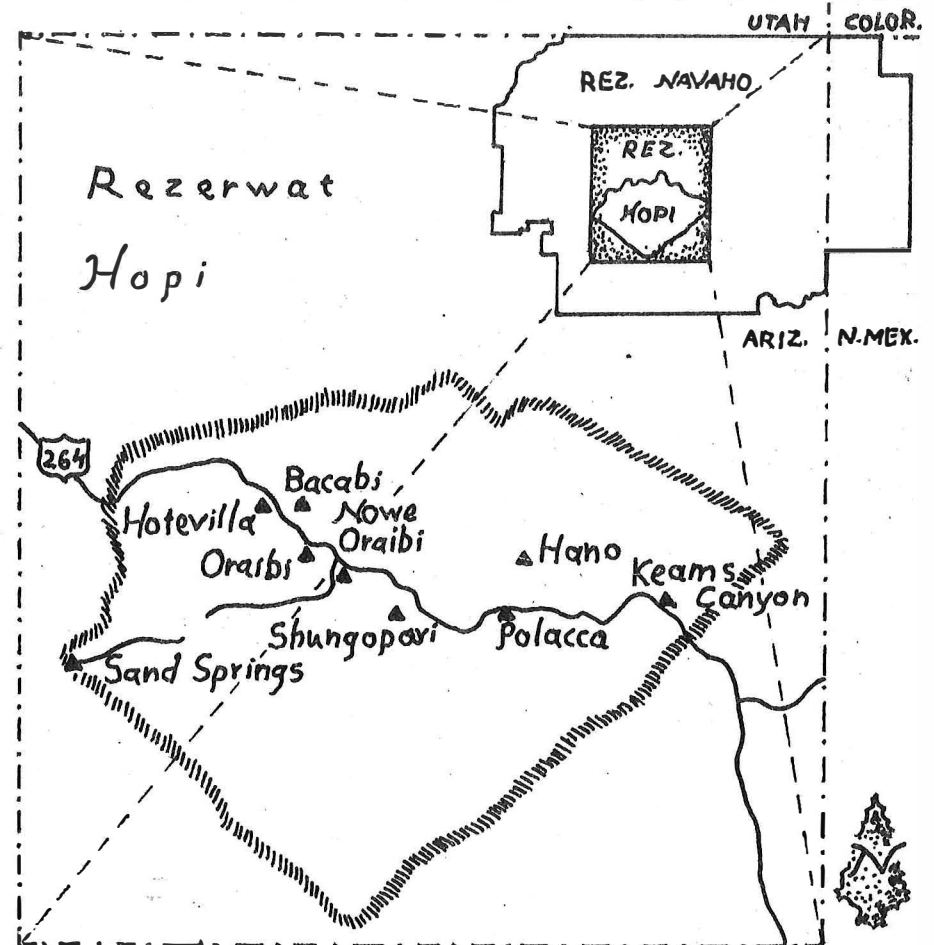
Taniec Węża ma ogromne znaczenie dla Hopiów. Na pozór mogłoby się wydawać, że jest to prośba o deszcz i pomyślne plony, jednak na głębszym poziomie stanowi to rytualną, wspólnotową modlitwę za całe życie. Dla przybyszów z zewnątrz obrzęd ten jest najbardziej znany ze wszystkich w religijnym cyklu Hopiów, gdyż w trakcie tańca członkowie Stowarzyszenia Węża wiją się dokoła placu wioski trzymając w ustach żywe grzechotniki i inne węże. W rzeczywistości jednak, taniec ten jest zaledwie częścią trwającego szesnaście dni obrzędu, na który składają się: ścisły post, modlitwa i medytacja, odwiedziny miejsc kultu i pielgrzymka po węże z określonych miejsc w każdej z czterech stron świata. Jeśli członkowie Stowarzyszenia Węża, do którego należy także Dalton Taylor, nie przy-

noszą węże choćby z jednego miejsca, to ceremonia i w następstwie – cała Droga Hopiów może zostać niebezpiecznie pozbawiona równowagi. Baza budowy znajdowała się dokładnie w centrum najbardziej na wschód wysuniętych legowisk węży.

W nocy, po głosowaniu, około dwudziestu mężczyzn i kobiet spotkało się w centrum małej, kamiennej wioski, o której mówi się, że ma prawie tysiąc lat, żeby przedyskutować następne działania. Choć była to sytuacja kryzysowa, wszyscy dobrze ją znali. Sipaulovi otrzymała tę ziemię od Shungopavi pod koniec XVII wieku w zamian za obronę „macierzystej wioski”

przed Hiszpanami. Obie wioski nieustannie się kłóciły o prawo do tych ziem. W przeszłości Sipaulovi wysuwała propozycje, a rada plemienna zaaprobowala kilka projektów budowlanych na ziemi, o którą zabiega Shungopavi.

Całą sprawę komplikuje ponadto fakt, że Sipaulovi wybiera przedstawicieli do rady plemiennej, natomiast Shungopavi bojkotuje ten wymysł Departamentu Spraw Wewnętrznych od 1934 roku, któremu potrzebne było jakies ciało do podpisywania umów z przemysłowcami, sfrustrowanymi niemożnością znalezienia jakiegokolwiek kompetentnej osoby w tych niezależnych



wioskach. Nic dziwnego więc, że włoski bezwzględnie przeważnie nie wleczą o postanowieniach rady ich dotyczących, aż jest za późno.

Początkowo grupa Shungopavi miała nadzieję, że rozwiąże ten problem w tradycyjny sposób, na drodze spotkania religijnych przywódców obu wiosek. Kiedy się to nie powiodło, spróbowali innej taktyki: wyjazdu do regionalnego Biura do Spraw Indian, nadzorującego wszelkie projekty rozwoju ziem indyjskich, spotkania z przemysłowcami z Blaze oraz liczne listy do rady plemiennej. Zaoferowali nawet pomoc w znalezieniu innego terenu na bazę dla przedsiębiorstwa, aby roboty drogowe mogły być kontynuowane.

W tym samym czasie, na świętą ziemię wjechały buldożery. Blaze szybko zagospodarowało przydzielony teren o powierzchni 2,8 akrów na park dla 22 przyczep i wytwórni asfaltu. Na nieprawnie zajętej terenie 1,5 akra urządzono składowisko materiałów i przystosowano naturalne serpenty i koryta, jakie rolnicy Shungopavi wykorzystują do nawadniania swych pól, do składowania żwiru. Dzieci i psy uganiają się wokół pradawnej świątyni, a ciężki sprzęt jeździ po delikatnej ziemi, gdzie węże, króliki, orły, rośliny i owady żyły w spokoju. Spaliny nasyciły powietrze zasłaniając San Francisco Peaks. Prace budowlane rozpoczęły się, zanim ukończono badania środowiskowe i archeologiczne, zleczone przez Blaze.

W maju 1989 roku – wyjaśnia Dalton Taylor, mężczyzna o smagłej, ogorzałej twarzy i z poczuciem ironii, jaką podziwuje jego każdy, nawet najbardziej poważny nastrój – przywódcy religijni i zainteresowani problemem mieszkańcy Shungopavi zdecydowali się na podjęcie bardziej radykalnych działań. – Spotkaliśmy się z radą, ale oni nigdy nas nie słuchali. Powiedzieliśmy sobie: „A może musimy to zrobić metodą białego człowieka, może wtedy nas wysłuchają”. Wzięliśmy adwokata i doradcę w sprawach publicznych.

To nie była łatwa decyzja. Ci ludzie ciężko walczyli o utrzymanie swego tradycyj-

negu sposobu życia i postępowania z dala od wpływów, na jakie teraz z własnej woli będą musieli się zdać. Podobnie jak większość lokalnych działaczy, nie mieli żadnego doświadczenia w dziedzinie prawa, polityki i przemysłu, gdzie zapadają decyzje i zwycięża zysk. Dwóch z nich pracowało dla rządu plemiennego, jeden dla Uniwersytetu Północnej Arizony; reszta to rolnicy, farmerzy, gospodarze i rzemieślnicy. Kilku było na emeryturze, a niektórzy nie mówili w ogóle po angielsku. Wzorem innych tradycjonalistów z osiedli Hopiów, już wcześniej zwalczali rozwój ekonomiczny, lecz ich walka miała przeważnie charakter pasywny i ograniczała się do pisania długich, elokwentnych listów do prezydenta Stanów Zjednoczonych i upartego odmawiania udziału w rządzie plemiennym. Wynajęcie prawnika i zgoda na rozmowy o wykorzystaniu i lokalizacji świętej ziemi były dla nich krokami tak radykalnymi i niezbędnymi jak przywiązanie się łańcuchami do drzew i kładzenie się przed buldożerami dla członków *Earth First!* (Najpierw Ziemia!), grupy ochrony środowiska stawiającej prawa drzew i zwierząt na równi z prawami człowieka.

Frances Jue z Albuquerque jest jedną z zaledwie czterech prawników Hopi, a ponieważ jej matka pochodziła z Shungopavi, właśnie ona została wybrana na prawnika grupy. Jue poleciła Bercie Torres, także z Albuquerque, aby nagłośniła kryzys w mass mediach. Torres natychmiast przystąpiła do pracy kontaktując się z lokalnymi mediami i organizując imprezy powiązane ze zbiórką pieniędzy w Los Angeles i San Francisco. Na jej nalegania, Radford Quamahongnewa – kapłan Stowarzyszenia Węża, elokwentny, wykształcony i wyjątkowo fotogeniczny mężczyzna – zgodził się, z pewną niechęcią, pełnić funkcję rzecznika grupy – rolę, jaka była zarówno obca, jak i niemiła widziana u tradycyjnego Hopi, ceniącego pokorę i skromność. Właściwie, Quamahongnewa był mniej zajęty objaśnianiem światła sytuacji Shungopavi, niż wyjaśnianiem mieszkańcom włoski zawłóci procedur

prawnych. Dzięki funduszom zebranych w Kalifornii, włoska wydawała gazetkę, opisującą przebieg konfliktu (na zdjęciu Quamahongnewa uśmiecha się niezręcznie przy boku aktorki Valerie Harper) i kolportowała do wszystkich Hopiów w *mesach* i poza nimi.

W tym samym czasie, Frances Jue budowała sprawę. Oskarżając Blaze o przekroczenie uprawnień, wynikających z umowy, i nie przeprowadzenie koniecznych badań wstępnych, a radę plemienną o pogwałcenie Konstytucji Hopiów, Aktu Wolności Religijnej Indian Amerykańskich, Aktu Ochrony Historii i wreszcie Pierwszej Poprawki do Konstytucji Stanów Zjednoczonych, wystąpiła o okresowe wstrzymanie robót i wstępne przesłuchanie.

Wystąpienie na drodze sądowej przeciwko radzie plemiennej było ryzykownym posunięciem. Rezerwy indiańskie, jako suwerenne narody, nie podlegają jurysdykcji federalnej z wyjątkiem przestępstw kryminalnych, jak morderstwo, gwałt czy podpalenie, tak więc sprawa przeciwko radzie nie mogłaby stać na forum sądu stanowego czy federalnego. Jedynym wyjściem dla tubylców w przypadku skargi na radę plemienną jest zwrócenie się do sądu plemiennego, co o tyle kłóci się ze zdrowym rozsądkiem, że sędziowie zawdzięczają swą posadę właśnie pozwanym.

Mimo to, odkąd ujawniono, że rada plemienna Hopi nie przestrzega plemiennych konstytucji, zobowiązującej ją do uzyskania zgody przywódców religijnych przed rozpoczęciem jakichkolwiek robót na ziemi należącej do wioski, Jue czuła, że mają sprawę. Sędzia Hopiów, Robert Ames, zgadzając się z jej stanowiskiem, nakazał Blaze wstrzymać roboty i opuścić zajmowane miejsce.

Frances Jue, drobna kobieta o miękki głose, mówi, że przywódcy innych plemion, jak Zuni i Ute, wyrazili zainteresowanie sprawą, gdyż decyzja sędziego sugeruje, iż tradycyjna etyka ziem może być ważniejsza niż ekonomicznie umotywowane plany zagospodarowania ziemi, wysunięte przez rząd plemienne. – Bez względu na to, co kto myśli o Konstytucji Hopiów, ona istnieje –

mówi Jue – i jeśli nic nie można zrobić, kiedy jest łamana, to po prostu wstyd.

Teraz przygotowuje się do procesu, w którym oskarżyciele Shungopavi będą ubiegać się o odszkodowanie na przywrócenie ziemi poprzedniego stanu.

Zachęcona tym sukcesem, grupa Shungopavi pracuje teraz z Jue i Torres nad zmuszeniem rady plemienną do wydania decyzji o oczyszczeniu przepełnionego i stanowiącego potencjalne zagrożenie zbiornika ścieków, położonego za kompleksem hotelowo-restauracyjno-muzealnym Hopi Cultural Center, który także stanowi przedmiot ziemskiego sporu z Sipałowi. W końcu listopada [1989] część mieszkańców wioski podjęła najbardziej radykalną akcję z wszystkich dotychczasowych. Postanowili, że już nie będą walczyć z rządem plemiennym, a przyłączą się do niego: poszli na wybory pierwszy raz w życiu i oddali głosy na nowego przewodniczącego, Vernona Masayesę, który obiecał zwracać większą uwagę na żądania tradycjonalistów. Tym samym, grupa dała wspaniały przykład innym Hopiom. Keith Secakuku mówi, że przywódcy innych wiosek zostali tak zachęceni sukcesem Shungopavi, że poprosili o zgodę na wynajęcie Jue i Torres, żeby pomogły im rozwiązać problemy, jakie mają ze swymi radami.

Nie ma prawdopodobnie ani jednej osoby wśród dziesięciu tysięcy Hopiów, żyjących na *mesach*, która nie stwierdziłaby jednoznacznie, że troska o ziemię jest esencją tego, co znaczy: **być Hopi**. Jak zatem można troszczyć się o ziemię? Tu zdania są podzielone. Dla ludzi Shungopavi, ziemia jest żywą całością o głębokiej wartości, która nie ma nic wspólnego z pieniędzmi, ani z potencjalnym, niezdefiniowanym jeszcze użytkowaniem, które zamieniłoby ją w bardziej produktywną czy wydajną (i stąd wartą większych pieniędzy) niż jest obecnie. Każda forma życia na ziemi posiada swą własną wartość i własny cel. Każda roślina, każde zwierzę, chmura deszczowa i góra przyczyniają się do pomyślności wszystkich pozostałych. Wszystko jest częścią świętego porządku.

– To nie jest nasza ziemia – mówi Radford Quamahongnewa. – Jesteśmy tylko jej opiekunami. Wszystkie obrzędy, jakie odprawiamy, pochodzą z natury; wszystko - począwszy od malunków na ciałach tancerzy, które pochodzą z ziemi, po zioła, jakie zbieramy do leczenia, po modlitwne pióra, jakie zanoszą się w różne święte miejsca. Węże są naszymi braćmi. Po obrzędzie, oddajemy je z powrotem ziemi i one zanoszą nasze modlitwy na powrót do podziemnego świata, gdzie – jak mówią legendy – Hoplowie mieszkali zanim wdrapali się na ten świat. Musimy ochraniać ziemię dzięki energii modlitw.

Przedstawiciele rady plemiennej skłonili się zgodzić się z tym, ale tylko do pewnego stopnia. Wszyscy czterej, którzy zgodzili się udzielić mi wywiadu do tego artykułu, prosili aby ich nazwiska pozostały tylko do wiadomości redakcji, jakby się obawiali surowego osądu rodziny i bardziej ortodoksyjnych członków klanu. Większość mieszkańców ma wrażenie, że ludzie Shungopavi trochę przesadzili, że powinni bardziej starać się rozwiązać ten problem prywatnie z Sipaulovi, zamiast robić widły z igły na łamach prasy. Pewna osoba mówiła z oburzeniem o pilnej potrzebie budowy drogi, którą miało wykonać Blaze, i o tym, że Shungopavi nie potrzebowali swej świętej ziemi w 1989, ponieważ w tym roku nie odbywała się Ceremonia Węża.

Cała czwórka opowiada się za kontynuacją rozwoju ziem Hoplów, a ich argumenty są następujące: „Hoplowie nie zostaną w tyle, gdy reszta świata wkracza w XXI wiek. Musimy myśleć o naszych dzieciach i wnukach. Bezrobocie już jest wysokie. Ludzie opuszczają wioski, żeby pracować w mieście. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby zagwarantować bazę ekonomiczną dla przyszłych pokoleń Hoplów”. Członkowie rady generalnie przyznali, że chcieliby widzieć nowe kopalnie odkrywkowe węgla w rezerwacie bogatym w ten surowiec, wyjaśniając pospiesznie swe stanowisko cytatem fragmentu starego proroctwa Hoplów, mówiącym o tym, żeby *wiedzieć, jak używać dary Matki Ziemi*.

BĄDŹ HOPI NIE GŁOSUJ obwieszczał nagłówek czterostronicowej gazetki, wydanej w listopadzie 1989 roku w Flagstaff przez Hopi Epicentre, małą luźno zorganizowaną grupę kierowaną przez Marilyn Harris z Drugiej Masy z Mishongnavi. Ta mocno zbudowana kobieta o długich czarnych włosach, nie ma nic prócz pogardy dla Hoplów uciekających się do pomocy prawników, pozwalających się fotografować i – co najgorsze – głosujących.

Niepokoił się, że polegając na błahych procedurach prawnych i używając żargonu błahych, Hoplowie dobrowolnie pochłaniają dawki tej samej trucizny, jaką od czterystu lat dominująca kultura usiłowała wprowadzić bardziej perfidnymi metodami do ich kultury.

– Nasze dzieciaki nie chcą już uprawiać ziemi. Nawet już nie chce nam się modlić o deszcz. Zamiast tego wprowadza się systemy nawadniające. I elektryczność! – wykrzykuje Harris, mówiąc o wdzieraniu się do włosów linii wysokiego napięcia, które – jak przyznaje i starszyzna Hoplów, i uczeni – mogą kolidować z wysoką częstotliwością piorunów, występujących naturalnie wokół czterech świętych gór otaczających ziemię Hoplów. – To dlatego brakuje deszczu. Cała ziemia jest wytrącona z równowagi. Jeśli będę chciała elektryczności, kupię generator albo jeden z tych zestawów słonecznych. Nie będę wечно płacić elektrowni.

Gazetka Marilyn Harris, publikowana w miarę zdobywania funduszy, składa się z długich rozmów z tradycyjnymi Hoplami, którzy są przeciwni wszelkim ustępstwom wobec błahych instytucji i procedur. Jednym z celów grupy jest doprowadzenie do ustąpienia rady плеiennej, nie poprzez system prawny, ale na drodze porozumienia między wioskami.

Nie ma znaczenia, jak krytycznie nastawione są grupy do wzajemnego zbliżenia, wszystkie tak naprawdę walczą o to samo. Nowi aktywiści Shungopavi, nie mniej niż przedstawiciele rady плеiennej, desperacko

próbują bronić ziemię plemienia i Droge Hoplów przed ingerencją ludzi z zewnątrz.

Jak Ameryka Północna długa i szeroka, wszystkie grupy Indian zaangażowane są w taką samą walkę, od Mohawków, których pracowite wysiłki o życie zgodne ze swym dziedzictwem są trywializowane i zaciemniane przez ostatnie polemiki, czy można pozwolić na hazard w rezerwach, aż po Indian Alaski zmuszonych przez federalną Ustawę o rozszereżeniach tubylczych do bycia akcjonariuszami w inwestycjach przemysłowych na ich własnej ziemi. W tych wszystkich indiańskich grupach ludzie są tak pogrążeni w nieustannym procesie walki przeciwko różnym przejawom ingerencji w ich własne plemienne sprawy, że nie mają prawie czasu na spotkanie się w swoim gronie w celu omówienia sposobów ratunku i odbudowy ich kultury.

Jak na ironię, problemy Hoplów, które skłoniły do podjęcia drastycznych działań przeciwko radzie плеiennej, spowodowały ostatnio rząd плеienny do walki z wielką korporacją, zapewniającą setki miejsc pracy i przynoszącą plemieniu główny dochód od ponad dwudziestu lat. Kopalnia odkrywkowa węgla firmy Peabody Coal Company w Black Mesa rozprzestrzeniła się na obszarze 24 tysięcy akrów ziemi Hoplów i 40 tysięcy akrów sąsiadującej ziemi Nawahów. Tradycjonalisci byli przeciwni tej kopalni od chwili jej otwarcia w 1968 roku, gdyż uważali Black Mesa za świętą górę kobilecą i byli bardzo poruszeni jej profanacją. Od lat twierdzili ponadto, że korzystanie przez Kompanię z drogocennych wód głębinowych wpływa negatywnie na zasoby wodne strumieni i wód podskórnych. Każdego dnia pompuje się blisko osiemnaście milionów litrów tej wody do transportu węgla dla oddalonej o blisko pięćset kilometrów elektrowni Callifornia Edison's Mohave Generating Station, gdzie służy do chłodzenia domów i napędzania kół zamachowych biznesu w południowej Kalifornii.

Podczas kampanii wyborczej na przewodniczącego rady Hoplów, dotychczasowo

wo urzędujący Ivan Sidney, domagał się przeprowadzenia dalszych badań, mających udowodnić, czy rzeczywiście zasoby wód głębinowych są bliskie wyczerpania. Jego zastępca, Vernon Masayesva obiecywał, że przerwie wodny transport węgla natychmiast. Masayesva zwyciężył sześćdziesięcioma czterema głosami; to mlzerne ale decydujące zwycięstwo obaj przewodniczący, zarówno ubiegłej kadencji, jak i obecnej przypisują włosce Shungopavi.

– Tradycjonalisci są zaniepokojeni zużyciem wód podskórnych – powiedział Masayesva. – Zamierzamy walczyć do końca, odwołując się aż do Waszyngtonu, aby rząd spróbował wypracować inną metodę transportu węgla.

Latem 1990 roku Masayesva miał okazję spełnić swą obietnicę. Na skutek upałów powysychało wiele źródeł, z których tradycyjnie korzystali farmerzy Hoplów. Masayesva razem z przewodniczącym Nawahów, Leonardem Haskle polecieł do Waszyngtonu, aby nakłonić ministra Spraw Wewnętrznych, Manuela Lujana do odrzucenia prośby kopalni Peabody o zezwolenie na wypompowanie zagwarantowanych w kontrakcie 696 milionów ton wody celem utrzymania wydobywania. Kontrakt z Peabody musi być obecnie co pięć lat przedłużany. Kopalnia nie spodziewa się wyczerpać limitu wydobywania przed rokiem 2035, natomiast Hoplowie obawiają się, że do tego czasu warstwy wodonośne zostaną tak osuszone jakдно Jeziora w końcu sierpnia.

Masayesva, schludny, energiczny mężczyzna, którego świeżość w sprawowaniu urzędu publicznego ujawniała się w szczodrym spędzaniu czasu z reporterami i starannych odpowiedziach na ich pytania, zwłaszcza na temat alternatywnego transportu węgla koleją czy też zamianą wody na metanol; opowiada się też za metodami odzysku wody.

Choć tradycjonalisci woleliby w ogóle zaprzestać wydobywania węgla w Black Mesa, to fakt, że plemię otrzymuje 70% swego dziesięciomilionowego budżetu operacyjnego właśnie z Peabody sprawia, iż jest to dość niezwykła propozycja. W przeszłości plemię usiłowało bronić swych in-

teresów prowadząc negocjacje finansowe i kwestionując niektóre projekty Peabody, takie jak: budowa lotniska czy tamy zatrzymującej wodę. Wysiłki Masayesvy i Haskiego zmierzające do radykalnych ograniczeń wydobycia oznaczają pierwsze realne zagrożenie dla produkcji i zysków Peabody. Podobnie jak ludzie Shungopavi, przywódcy rządu plemennego osiągnęli stan, w którym nie mogą dłużej tolerować eksploatacji swej ziemi przez obcy kapitał.

Nie jest prostą sprawą dla Hopliów określenie sposobów ochrony swej świętej ziemi, szukając jednocześnie źródeł dobrobytu, w tym ekonomicznego, dla swych dzieci i wnuków. Prawdopodobnie nie sposób wyznaczyć jakis stały program działania, każda sprawa musi być rozpatrywana indywidualnie. Kiedy jednak choć raz utraci się świętą ziemię czy ulegnie presji ekonomicznej, Hopliowie utracą coś najbardziej podstawowego, swą duchową tożsamość, manifestowaną właśnie poprzez więź z ziemią. Czasami może konieczne jest złamanie tradycji, aby uchronić ją przed zagładą.

Clifford Balenquah, były przedstawiciel rady plemiennej, a obecnie skarbnik plemienia, pochodzi z Bacovi, wioski założonej w 1909 roku, w której zachowały się jedynie ślady tradycyjnej religii Hopliów. Bardzo żałuje tej straty. Odkąd tylko Shungopavi praktykuje dalej cały dwunastomiesięczny cykl obrzędowy, łącznie z Ceremonią Węża, ostatnie relikty tradycji Hopliów pozostają pod opieką jednej tylko wioski.

Balenquah, weteran z Wietnamu, który jako chłopiec szukał towarzystwa starszego Hopliów, mogącej go nauczyć legend i tradycji, pragnie aby rząd plemenny funkcjonował bardziej na zasadzie współpracy między starymi i nowymi poglądami. – Chciałbym aby rada mogła przejąć wkład tych ludzi, którzy mają wiedzę o filozofii i prorocत्वach – mówi – ponieważ są cenni i mogliby dużo wnieść do rządu, gdyby udało się ich zaangażować.

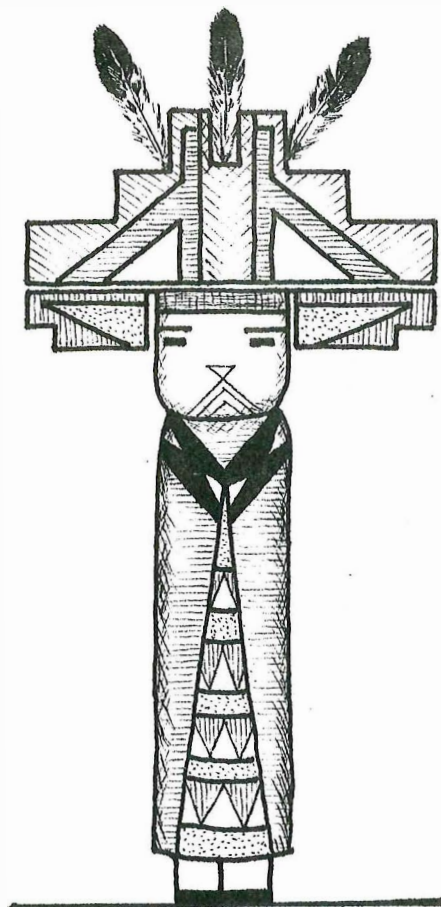
W sierpniu, kiedy Kapłani Węża udali się na wyprawę w cztery strony świata,

nie znaleźli ani jednego węża w ich wschodnim siedlisku. Radford Quamahongnewa nie odważył się na skomentowanie długoterminowych konsekwencji tego nieszczęścia, lecz jedno było oczywiste dla każdego uczestnika obrzędu: choć bębny były nieprzerwanie, a tancerze ani razu nie zmylili kroku, nie pojawił się nawet zwiastun deszczu.

Trebbe Johnson

Tłumaczenie Krzysztof Skomoroko

Na podstawie: „The Amicus Journal”, zima 1991.



Więści z Południowego Zachodu

Śmierć ekologa – sprawa dla prokuratora?

Autorzy emitowanego przez Fox Television popularnego programu *A Current Affair* (Aktualna sprawa) zajęli się problemem tajemniczej śmierci Leroya Jacksona, ekologicznego działacza z plemienia Nawahów. Jego ciało, zawinięte w koc, znaleziono 9 października 1993 roku w jego samochodzie na parkingu koło Tres Amarrilla w Nowym Meksyku, a sekcja zwłok wykazała obecność metadonu w organizmie. Żona i przyjaciele Leroya Jacksona uważają, że został on zabity, nigdy bowiem nie brał narkotyków, natomiast od 1992 roku otrzymywał liczne anonimowe pogróżki w związku ze swoją działalnością na rzecz ochrony środowiska. Leroy Jackson był m.in. współzałożycielem organizacji Obywatele Dine Przeciwko Rujnowaniu Środowiska (Dine CARE), która doprowadziła do zredukowania zleconego przez Biuro do Spraw Indian (BIA) wyrębu drzew w górach Chuska na terenie rezerwatu Nawahów.

Kapłan – biznesmen na czele Rady Hopliów

Nowym przewodniczącym Rady Hopliów został 56-letni Ferrell Secakuku (którego nazwisko oznacza „żółta stopa”). Jest on właścicielem sklepu i stacji benzynowej z Drugiej Masy, ale także wyznawcą tradycyjnej religii Hopliów i szanowanym kapłanem Klanu Węża. Secakuku zapowiedział kontynuację wysiedlania Nawahów zamieszkujących sporny od stu lat obszar na pograniczu rezerwatów obu plemion (co nakazała kontrowersyjna ustawa Kongresu USA z 1974 roku). Obiecał też dalsze starania o uchronienie złóż wód gruntowych w rejonie zamieszkiwanym przez Hopliów pustynnym rejonie Arizony. Plemię obawia się bowiem nadmiernej zużycia i zanieczyszczenia cennej wody przez eksploatującą odkrywkowe kopalnie węgla spółkę Peabody Coal Company.

Senator przeprasza za „szpetnych małych Indian”

Stanowy senator z Arizony, Billy McKibben przepraszył publicznie za użycie podczas obrad obraźliwego zwrotu „szpetni mali Indianie” i przekazał listy z przeprosinami do dwójki indiańskich członków Senatu Arizony. Indianie senatorowie oświadczyli, że trudno im przyjąć przeprosiny Mc Kibbena, bowiem jego stwierdzenie pogarsza opinię stanu i potwierdza ciągły brak szacunku dla Indian, zaś osoby na wysokich stanowiskach powinny szczególnie wystrzegać się niestosownych uwag na temat jakichkolwiek grup obywateli. Obrażliwy cytat wraz z nazwiskiem i funkcją jego autora trafił m.in. do Muzeum Instytutu Sztuki Indian Amerykańskich w Santa Fe na wystawę Charlene Teters zatytułowaną „To był tylko Indianin – stereotypy o Tubylczych Amerykanach”.

Nawahowie zarabiają na układzie NAFTA

Układ o Północnoamerykańskiej Strefie Wolnego Handlu, czyli tzw. NAFTA, budzi obawy wielu Indian ze względu na groźbę zwiększenia bezrobocia w USA oraz konkurencję tanich towarów importowanych bez cła z Meksyku i Kanady. Ale są też przykłady pozytywnych efektów obowiązującego od 1 stycznia 1994 roku układu. Dzięki obniżeniu cen Indianie Nawaho, na przykład, mogą oferować tańsze siano meksykańskim hodowcom, a likwidacja przygranicznej strefy wolnego handlu pozwala im dostarczać tani towar dalej na południe. Mogą też sprzedawać po konkurencyjnych cenach ziarno wyższej klasy, na które nie stać było do tej pory meksykańskich rolników. Spodziewane dochody Nawahów z tych transakcji wynoszą grubo ponad milion dolarów rocznie.

Na podstawie *Indian Country Today* przesłanych przez Jacka Piwowskiego (USA) opracował Marek NowoCIEŃ

Apacze, Dan Thrapp i ja

29 kwietnia 1994 roku odszedł na zawsze w swym domu w arizońskim Tucson pewien niezwykły człowiek. Śmierć jego nie powinna stanowić zbytniego zaskoczenia, gdyż w czerwcu skończyłby osiemdziesiąt jeden lat. Stanowiła jednak prawdziwy wstrząs dla wszystkich, którzy znali go i kochali. *Był nieprzytomny, kiedy go znaleźiono i zdaje się, że już nie odzyskał przytomności* – napisała mi jego córka, Linda – *ale byłam przy jego boku, gdy umierał i jestem pewna, że wiedział o me obecności.*

Człowiekiem tym był Dan L. Thrapp – dziennikarz, historyk, alpinista, mułnik i żołnierz. Urodził się 26 czerwca 1913 roku w Chicago. Jest absolwentem uniwersytetów Wisconsin oraz Illinois. Po ukończeniu studiów zatrudnił się w nowojorskim Museum of Natural History. W 1935 roku po odbyciu długiej i niebezpiecznej wycieczki w niezbadane dzikie okolice Ciemnego Kanionu (Dark Canyon) w Utah, postanowił poświęcić się dziennikarstwu. Dyplom zdobył na Uniwersytecie Missouri i objął posadę w United Press International będąc jej korespondentem w Europie, Afryce i Chinach. Później przeszedł do „Los Angeles Times”, gdzie jako pisarz i wydawca pracował dwadzieścia pięć lat w dzielnym religijnym gazety.

Dan jednak zapisał się w pamięć ludzi przede wszystkim jako największy znawca historii wojen Apaczów z białymi. Każdy interesujący się tym zagadnieniem powinien mieć w swej bibliotece takie pozycje jak: *The Conquest of Apacheria*, *Victorio and the Mimbres Apaches* czy *Al Steber, Chief of Scouts*. Zainteresowania historyczne Dana nie sprowadzały się tylko do wojen apackich. Na krótko przed jego śmiercią ukazał się czwarty tom jego monumen-

talnego dzieła *Encyclopedia of Frontier Biography*. Czytelnik znajdzie tam życiorysy ponad pięć tysięcy jednostek, które na trwałe zapisały się w historii amerykańskiego pogranicza.

Nikogo chyba nie zdziwi, że człowiek ten głęboko interesujący się Indianami i historią był równie wielkim romantykiem. Oto dwa przykłady: Dan zawsze interesował się mułami, które stawiał wyżej od koni. Był znakomitym mułnikiem i na grzbiecie tych zwierząt odbył niezliczone wędrowki poprzez góry Południowego Zachodu i Andy w Ameryce Południowej. Toteż gdy Stany Zjednoczone wypowiedziały w 1941 roku wojnę Japonii, zmobilizowany Dan poprosił o przydział do jednostek stacjonujących w Birnie, gdyż jak pisał do mnie: *muły były powszechnie używane w Birnie, a ja pragnęłam zobaczyć ten kraj. Z wojny tej (czym się nie chwalił) wyniósł odznaczenia bojowe i stopień kapitana piechoty.*

Innym razem, po zdobyciu Aconcagua – najwyższej góry w Andach i na całej półkuli zachodniej, zostawił na jej szczycie fotografię uwielbianej przez siebie aktorki, Ginger Rogers. Kiedy Ginger dowiedziała się o tym z gazet, zaprosiła go natychmiast do siebie. Ich przyjaźń przetrwała do jego śmierci.

Nie miałem zaszczytu poznać Dana osobiście. Nasza znajomość – a może i przyjaźń, gdyż po kilku wymienionych między nami listach nakazał zwracać się do siebie po imieniu (do tej pory nie nazywałem go inaczej jak Panem Thrappem) – zaczęła się w maju 1987 roku, kiedy to przysłał mi piękny list wraz z czterema swoimi książkami, które należą już do klasyki. Jeżeli posiadam jakąś wiedzę na temat toczonych przez Apaczów wojen, życiorysów ich wybitnych przywódców czy też liczących się



Dan L. Thrapp

wówczas Amerykanów czy Meksykanów, zawdzięczam to głównie Danowi. Prócz licznych książek i artykułów, jakie mi przysyłał, w swych siedemnastu listach do mnie udzielił wyczerpujących odpowiedzi na moje szczegółowe, często naiwne pytania. Dzięki niemu nawiązałem kontakt z innymi wybitnymi znawcami Apaczów, jak nieżyjący już C.L. Sonnichsen, jak John Shepard, Lynda Sanchez, Cornelius Smith czy biograf Cochise'a Ed Sweeney.

Piszę o tym wszystkim nie tylko po to, by pochwalić się znajomością z Danem. Chcę uzmysłowić polskim Indianom, jak wiele zawdzięczamy temu człowiekowi, jak

wiele nam przekazał, trochę dzięki memu skromnemu pośrednictwu.

Nigdy już nie napiszę pod numer 4970 na ulicy N. Camino Antonio w Tucson. Nigdy nie wyślę Danowi jego przetłumaczonej przeze mnie, a dotąd nigdzie nie wydanej książki *The Conquest of Apacheria*. Nie ma już tego, o kim pisał do mnie ś.p. profesor Sonnichsen, autor *The Mescalero Apaches: Jestem pewien, że uzyskał Pan wiele informacji o Apaczach dzięki pomocy pana Thrappa. To wielki uczyony i wterny przyjaciel i nie mógł Pan znaleźć lepszego nauczyciela.*

Aleksander Sudak

Wyprawa Nany

Victorio odszedł. Po raz pierwszy od dziesięcioleci pogranicze mogło oddychać lżej, nie mając w sąsiedztwie silnych grup Apaczów stających groźno i zniszczenie. Tak przynajmniej sądził. Apaczeria rozrastała się. Arizona posiadała czternaście tygodników i cztery dzienniki, które mogły się teraz zająć kłopotami dnia powszedniego. Tak na przykład „Star” doniosła pewnego dnia, że *Henry D. znany ogólnie jako Kłębek Williams, który od kilku tygodni żarliwie walczył z plagą pijaństwa na ulicach Tucson... oświadcza, że jest bliski sukcesu i zamierza zorganizować wyprawę badawczą. W celu ułatwienia sobie codziennego życia gazeta wzywała do zwiększenia liczby palików do uwłazywania koni. Obecnie – czytamy – gość wchodzący jednymi drzwiami do sklepu na rogu ulicy, widzi zwykłe przy drogich wlatującego go konia. Gdy zwierzę raz wejdzie do środka, doświadczamy poważnych trudności z usunięciem go bez uszkodzenia sprzętów lub zakrycia mu tba beczką po jabłkach.* Gazeta zwróciła również uwagę na obyczaj miasta, które nie były w pełni takie, jakimi być powinny. Sprowadzenie przez towarzystwo kolejowe tłumów chińskich pracowników, dalekie od wpływu na degreoladę moralną, mogłoby mieć tylko zjawienie skutki, gdyż *byłoby nemożliwością bardziej popsuc panujące w Tucson obyczaje.*

Tucsończycy wkroczyli w 1881 rok dość spokojnie, jak świadczy o tym „Star” pisząca 1 stycznia, że *wszyscy poprzystęgli zerwać z pijaństwem, hazardem i temu pokrewnymi nabożami.* 18 stycznia: *noworoczne przystęgli i obietnice poprawy poszły w zapomnienie.* 25 lutego: *nlepokojąca obojętność wobec zbrodniczych występów.* 8 marca: *Frank Chapman bestialsko pobit kowboja.* 20 marca: *dochodzi do ucieczek.* *Potrzebne nowe węzłenie.* 25 marca: *plęć*

dziesięciu osobników w areszcie. 26 marca: *aresztanci próbują uciekać tunelem.* 18 kwietnia: *Johny Idź do Diable ucieka z węzłenia.* 1 maja: *trzyman w węzłeniu pozrywał kajdany.* 12 maja: *próba ucieczki z węzłenia udaremmlona przez Ike'a Brokaw.* 27 sierpnia: *wielkie święto ku czci Św. Augustyna zapoczątkowane w Parku Leutna.* 1 września: *napad na bank podczas zabawy i zagarnięcie 900 dolarów.* I tak dalej, i tak dalej.

Na granicy indiańskiej nie było jednak tak spokojnie, jak by sobie tego życzyli mieszkańcy Południowego Zachodu. Zauważał o tym efektowny, choć krótki najazd starego Nany. Liczący sobie blisko siedemdziesiąt zlm Apacz z Gorących Źródeł ulegał takim zachciankom, jak ozdabianie się ciężkimi złotymi łańcuszkami od zegarka, które zwisały mu z pomarszczonych uszu, lecz nie był głupcem, a jako zagończyk nie miał wielu równych sobie w historii pogranicza. Zdaje się, że nauczył się sporo od Victorio, choć był już doświadczonym wojownikiem w dniach, gdy Victorio jako mały pędrak doświadczał emocji przy męczeniu małych zwierząt i ptaszków, które wpadły mu w ręce. W swych niezliczonych walkach z białymi oczami odniósł wiele ran, a jedna z nich sprawiła, że kulał do końca życia. Są tacy, co sądzą, że jego wyprawa miała na celu pomszczenie Victorio, lecz prawda wyglądała inaczej. Były to tylko normalne działania apackie, podniecająca niezaplanowana przygoda, która przyniosła więcej sukcesów niż Indianie mogli oczekiwać.

Piętnastu wojowników jechało wraz z Naną, gdy przeprowadził się przez Rio Grande na wschód i wkraczał na teren Nowego Meksyku w lipcu 1881 roku. Wieść o jego przybyciu ślagnęła doń dwudziestu pięciu Mescalero znużonych życiem w rezerwacie

i żądnych sławy i łupu. O ich krwawym dziele donoszą raporty na dwóch skąpych stronicach nr 99 i 100 w „Wykazie Bitew”, na których się tutaj głównie operamy.

Apacze śmiało dążyli za dnia ku północnemu wschodowi, ich czujne czarne oczy nie pomijały niczego po drodze, wypatrując śladów, dalekich kłębow dymu, tumanów kurzu, ścieżek wędrownych poszukiwaczy złota, podróżników, hodowców bydła. Nie zbaczając w żadnym kierunku udali się w góry Sacramento. Tam w kanionie Alamo 17 lipca 1881 roku natknęli się niespodziewanie na dwóch ludzi z małego oddziału Dzielwatego Pułku Kawalerii, dowodzonego przez porucznika Johna F. Guilfoyle'a i pospiesznie zastawili pułapkę. Nie powiodło im się to w pełni. Zranili, co prawda, szefa mulników, Burgessa i zagarnęli trzy muły, lecz zaalarmowali kawalerię i Guilfoyle miał ich odtąd ścigać niemal do końca całej wyprawy.

Nana na wieść, że leżące przed nim góry pokryły się wojskiem cofnął się ku zachodowi, zdążając tam łukiem od północy. Jego ludzie przemknęli Psm Kanionem i na krańcach Białych Płasków napotkali i zabili dwóch Meksykanów oraz jedną kobietę. Na tę chwilę nadjechali kawalerzyści Guilfoyle'a, lecz potyczka nie przyniosła strat żadnej ze stron. Nana ciągnął na zachód, Guilfoyle trop w trop za nim. Apacze chcieli dotrzeć do swoich starych kryjówek w górach San Andres, lecz żołnierze nie dawali im chwili wytchnienia. 25 lipca Guilfoyle ponownie zaatakował i tym razem jego murzyńscy żołnierze zagarnęli dwa wierzchowce, dwanaście mułów, wszystkie zapasy Nany i jak przypuszczali, zabili dwóch wrogów. Niezwykła ucieczka i pościg przesuwały się ku zachodowi, a Indianie najwyraźniej zdążyli w góry San Mateos.

Po przekroczeniu Rio Grande, sześć mil poniżej San Jose stary Nana zarządził postój wystarczająco długi, aby zabić dwóch górników i Meksykanina, po czym uciekł w stronę niedostępnych gór, zabijając u ich podnóża dalszych czterech Meksykanów w dniu 30 lipca.

Budzący groźbę najazd sprawił, że biali osadnicy stanęli pod bronią. Zaczęli po-

spiesznie organizować oddziały zapalczywych, nienawidzących Indian, jeźdźców, przeczesujących wertepy i dolne partie gór. Jedna z takich grup w sile trzydziestu sześciu ludzi ruszyła w głąb San Mateos, nie napotykając śladu nieuchwytnych wojowników. Nieświadomi bliskiej obecności Apaczów cały ranek mozolnie posuwali się w górę Czerwonego Kanionu wśród jego duszącego gąszczu. W południe spoczęli koło źródła, gdzie było dobre pastwisko i cień. Panował upał. Luźno pasące się konie pozostawili pod opieką dwóch strażników, reszta odpoczywała pod topolami gawędząc, paląc i drzemiąc. Nagle ich zadumę zakłócił piekielny wrzask z kilkunastu dzikich gardeł i konni wrogowie wyonili się z gęstwiny, strzelając w pędzie i potrząsając rozwiniętymi kocami, aby spłoszyć wierzchowce. Wszystko to trwało sekundy. Nana zostawił za sobą osmłu powalonych białych, w tym jednego zabitego i ani jednego konia, nawet do przewiezienia rannych. Zagarnął ich trzydzieści osiem, wsadził na nie wszystkich swoich ludzi, a kilka sztuk przeznaczył na mięso. Po wydostaniu się z kanionu zabił spotkanego po drodze Meksykanina i pojechał dalej.

Ale i Guilfoyle nie pozostał daleko w tyle. 3 sierpnia uderzył znowu, tym razem koło Źródeł Moniki w San Mateos i znów porucznik był pewien, że jego ludzie ranili przynajmniej dwóch wrogów, zagarnęli jedenaście koni, trochę siodeł i innego sprzętu. Jednak stary przebiegły Nana z nietkniętą siłą główną wymknął się raz jeszcze. 11 sierpnia Guilfoyle dotarł w okolice La Savoya, do miejsca, w którym zabito dwóch Meksykanów i uprowadzono dwie kobiety.

Pułkownik Hatch skierował teraz w pole wszystkich podległych mu żołnierzy i stanął osobiście na ich czele. Łącznie osiem szwadronów kawalerii, osiem kompanii piechoty i dwie kompanie indiańskich zwładowców przetrząsały góry, równiny, kaniony i wertepy w poszukiwaniu wroga. Ten jednak nie dawał się zmusić do decydującego spotkania, wypadał nagle ze swej kryjówki, zadawał cios i ponownie zniknął

w pustkowiu. Znojne dni upływały żołnierzom w pogoni za swą nieuchwytną zwierzyną; żadne wojsko nie pracowało równie ciężko i z tak miernym rezultatem.

Wyczerpany do granic możliwości oddział Gullfoyle'a musiał ustąpić pola, jednak wielu innych trzymało się tropu. Kapitan Charles Parker, weteran kampanii przeciwko Victorio starł się z wrogiem 12 sierpnia, blisko dwadzieścia pięć mil na zachód od Sabinas. Do zacętej krwawej walki doszło wśród gęstych zarośli i kaktusów. Parker stracił pięciu ludzi, w tym jednego zabitego, jednego zaginionego i trzech rannych. Uznał jednak, że zabił czterech Indian, nim zdążył jak zawsze „odstąpić”. W cztery dni później grupa Nany znów została zmuszona do walki, tym razem ze szwadronem I Dzielwiącego Pułku Kawalerii i znów walka była ciężka. Porucznik Gustavus Valois obliczył, że naprzeciw niego, nad brzegiem Cuchillo Negro było około pięćdziesięciu Indian i można mu wybaczyć tę nieco zawyżoną liczbę. Indianie runęli jak trąba powietrzna. Porucznik George R. Burnett został dwukrotnie ranny przy ratowaniu życia szeregowca, za co otrzymał Medal Honoru. Zginęli dwaj żołnierze i zabito sześć koni. Nana oderwał się od wroga i pogalopował na zachód w stronę pasma Black, tam gdzie podczas pamiętnych dni spędzał czas wraz z Victorio i Mangasem Coloradas. Teraz jednak sytuacja się zmieniła, zbyt wiele wojska przemierzało okolice. Ledwo oderwał się od Valoisa, a już wpadł na drugi oddział Dzielwiącego Pułku dowodzony przez porucznika F.B. Taylora. Żołnierze odpędzili Indianom kilka luźnych koni, odzyskali nieco zrabowanego dobytku, tracąc trochę zabitych wierzchowców, lecz nie ponosząc strat w ludziach. Nana cofnął się raz jeszcze w głąb Czarnego Pasma, a za nim nieustępliwie, choć wolno, podążał Taylor.

Dziesięć bitew stoczonych w ciągu niecałego miesiąca nie pozostało bez wpływu na wydawałoby się niewzruszoną wolę walki Apaczów i Nana widząc, że jego zamiar spędzenia jednego lub dwóch sezonów na pustoszeniu starych okolic mija się z ce-

lem, zawrócił do Meksyku. Nie odszedł tam jednak bez ostatniego krwawego pożegnania.

Piętnaście mil od rancza McEvera, w kanionie Guerillo Apacze starł się z dwudziestoosobowym patrolem z Dzielwiącego Pułku, prowadzonym przez porucznika G.W. Smitha. Oficjalny raport z tej potyczki podaje, że wrogowie zostali pokonani *po niezwykle ciężkiej walce*, lecz niczym nie uzasadnia takiego wniosku. Z raportu wynika coś wręcz przeciwnego. Polegli porucznik Smith, czterej żołnierze oraz George Daly, cywilny ochotnik, który wziął udział w walce. Trzech innych szeregowców odniosło rany, co łącznie z zabitymi stanowiło prawie pięćdziesiąt procent oddziału. Trudno więc mówić tutaj o jakimkolwiek zwycięstwie żołnierzy, którzy ustąpili Indianom pola. Ostatni to już raz podczas tej wyprawy zdołali zmusić Nanę do walki. Na czele swych zmęczonych, pokrytych pyłem, nieugiętych wojowników przekroczyli granicę, *gdzie wobec stanowczego zakazu rządu nie można było kontynuować pościgu* – stwierdzał z ulgą raport.

Najazd Nany przeszedł do legendy. W niecałe sześć tygodni pokrecony reumatyzmem starzec przeprowadził garstkę swych wojowników przez ponad tysiąc mil wrogiego terytorium, pokonując czasem siedemdziesiąt mil jednego dnia. Podczas tej kampanii żywili się kosztem mijanych okolic, stoczyli kilkanaście potyczek z wojskiem i wygrali większość z nich. Zabili od trzydziestu do pięćdziesięciu Amerykanów, raniąc o wiele więcej, pojмали dwie kobiety i zagarnęli co najmniej dwieście koni i mulów. Uniknęli pościgu tysiąca żołnierzy i kilkuset cywilów, a wszystkiego tego dokonał Nana z grupą liczącą na początku piętnastu ludzi i chyba nigdy nie przekraczającą czterdziestu. Z indiańskiego punktu widzenia była to wielka przygoda i z powodzeniem mogłaby uwieńczyć karierę starego wojownika. Do tego było jednak jeszcze daleko.

Dan L. Thrapp

The Conquest of Apacheria

Przetłumaczył Aleksander Sudak

Robert M. Utley

Indianin na śniadanie

Kit Carson dawniej i dziś

Czy Kit Carson naprawdę rozkoszował się zabijaniem Indian, naprawdę „jadł ich na śniadanie”? Czy też był Carsonem mej młodości – „kochanym starym Kitem”, „radosnym wojownikiem”?

Może był i takim, i takim, lecz najpewniej żadnym. Tego wieczoru jednak staję przed wami nie po to, by się nad tym zastanawiać, lecz z prośbą, aby Carsonowi było dane żyć w jego własnym świetle, a nie w waszym czy moim. Carson jest jedną z tych postaci z przeszłości, które mówią więcej o ocenianych je pokoleniach niż o sobie samych. Do takich postaci należy też generał Custer, należy też – jak widziałem niedawno – Kolumb. Są one zwierciadłem, w którym odbijają się raczej odczucia i aspiracje postarzęgających, aniżeli prawdziwy charakter postrzeganych. Tym samym, gdy zmieniają się postrzegający, zmieniają się i postrzegani. Radosny wojownik jednego pokolenia staje się krwiożerczym rzeźnikiem dla drugiego.

Jest to zjawisko, któremu historia przypisuje impuls osądzania ludzi i wydarzeń przeszłości według dzisiejszych wartości i kryteriów. To co Kit Carson uczynił Nawahom w latach 1863-64 nie godzi się z dzisiejszymi ideałami humanizmu, ale Carson nigdy o takich ideałach nie słyszał. Był wytworem swego, a nie naszego, czasu i miejsca. Czy nie powinien więc być osądzany (lub przynajmniej postrzegany) jako mieszkaniec swojego świata, a nie naszego?

Zawsze, co prawda, uważałem, że obowiązkem historyka jest osądzanie jednostki w obu wypadkach. Postępowanie naszych przodków zrozumiemy tylko wtedy, gdy rozpatrzemy je w kontekście kulturowych i historycznych zjawisk, w jakich przyszło im żyć. Niemniej historia nabiera

znaczenia i staje się aktualna jedynie wtedy, gdy skonfrontujemy ją ze współczesnymi normami. Te ostatnie winny być jednak ukryte, dające się wywnioskować, a nie stanowić podstawy polemiki, która przysłańa historię.

Patrząc wstecz na Kita Carsona, zwalniam Nawahów od takiego rozpatrywania sprawy, podobnie jak Przekłutych Nosów od osądzania w ten sposób wędrowki Wodza Józefa czy Lakotów od starcia nad Wounded Knee. Ich plemienne wspomnienia są sprawą głęboko osobistą, gdyż ofiarami wydarzeń byli ich przodkowie. Co więcej, namłętność tych wspomnień stanowi swoisty i ważny element historii. Choć w dużym stopniu nie odpowiada ona zachowanym świadectwom epoki, to potężnie świadczy o sile zaznanego doświadczenia i jego historycznych konsekwencjach.

Jaki więc był świat Kita Carsona?

Najpierw musimy zrozumieć samego Carsona. Nie był on typowym prymitywnym człowiekiem gór, skłonny do bitki i wypitki, hałaśliwym zawadliaką, który potrafił tylko utrzymać się w górach. Jak powiedział ktoś, kto go znał: „W jego postępowaniu nie było nic ordynarnego, przeciwnie: jest człowiekiem skromnym i taktownym”.

Choć niepiśmienny, odznaczał się wysoką inteligencją. Życie jego ukształtowały doświadczenia, jakich nabył w roli człowieka gór, trapera, handlarza, badacza, przewodnika, indiańskiego pogromcy i agenta, a w końcu żołnierza. Rozumny, błęgie zna-

jący angielski, hiszpański, kilka indiańskich dialektów oraz język znaków, wykazał się głębłą myślą zrodzoną z przygód w dzicy i z różnorodnych doświadczeń z ludźmi, niezwykłych w owym miejscu i czasie.

Życie na pustkowiu ukształtowało poglądy Carsona na sprawę Indian. Sam fakt, że spędził tam trzydzieści lat pozwalał mu zrozumieć tych ludzi i warunki, jakie ich otaczały. Radził sobie z nimi równie dobrze podczas wojny, jak i w czasie pokoju. Gdy był przewodnikiem i traperem, jego śmiercionośny karabin położył niezliczonych wojowników i szeroko zasłynął jako pogromca Indian. Z drugiej strony wziął dwie Indianki za żony i zyskał szacunek i zaufanie tych czerwono-skórych, którzy chcieli jego przyjaźni. W przeciwieństwie do wielu sobie współczesnych Carson widział w Indianach ludzi, których należało traktować jak przyjaciół lub jak wrogów, jeśli dali po temu powody.

Najlepiej o stosunku Carsona do Indian świadczy jego postępowanie, gdy w latach 1854-61 był agentem do spraw Ute z siedzibą w Taos w Nowym Meksyku. Kiedy objął ten urząd, Ute i Apacze Jicarilla prowadzili wojnę z białymi, więc stale pracował jako wojskowy szef i przewodnik. Podczas tych działań zdobył sobie sławę pogromcy Indian. Jednak po zawarciu pokoju traktował Ute z całą serdecznością, powagą i sympatią. Był o wiele lepszym agentem od większości stworzonych przez system przydziałów. Był człowiekiem sumiennym, uczciwym i prawdomównym, znał język, nastroje i obyczaje swych podopiecznych. Słuchał z uwagą ich skarg i wspólnie z nimi podejmował decyzje. Oni z kolei darzyli go szacunkiem i przywiązaniem.

Będąc agentem Carson podyktował oświadczenie, w którym ukazał jak należy troszczyć się o Indian. *Stale odwiedzam Indian – pisał – mówię o korzyściach płynących z pokoju i wyjętam cały występek, by zadowoleni byli z postępowania tych, których ustanowiono nad nimi.* Carson wielce szanował zwierzchników, co najlepiej widać w jego stosunkach z Johnem C. Fremontem i Jamesem H. Carletonem. W sprawach indiańskich postępował zgod-

nie z wytycznymi polityki rządu. Utrzymał Ute, *by zadowoleni byli z postępowania tych, których ustanowiono nad nimi* stanowiąc najważniejszy cel jego działalności.

Owo postępowanie wynikało z dwóch doktryn odpowiadających nastrojom społeczeństwa i oficjalnej polityce. Carson uznawał słuszość obydwóch.

Pierwsza z nich mówiła o prawie białych pionierów do wszelkich ziem nie zamieszkiwanych i wykorzystywanych w sposób przyjęty przez Anglosasów. Owa doktryna „Manifestu Przeznaczenia” (*Manifest Destiny*) utrzymywała, że przeznaczeniem Amerykanów jest zapanowanie nad kontynentem i z Boską pomocą wzbogacenia go owocami ich pracy. Indianie w swej większości nie zamieszkiwali w stałych osiedlach, nie uprawiali ziemi, a nawet nie uważali jej za coś, co można „mieć na własność”. Musieli zatem ustąpić z drogi osadnikom zdolnym wyciągnąć z ziemi to, czego potrzebowali. Było to, oczywiście, powstałe na użytek chwilii uzasadnienie amerykańskiej zachłanności, lecz należy je też postrzegać jako uczciwe przekonanie wspólne większości obywateli.

To, że Kit Carson podzielał ten pogląd, a w każdym razie go nie podważał, da się wyczytać z jego oficjalnego raportu o działaniach bojowych przeciw Apaczom Mescalero z południowego Nowego Meksyku. *Nie ma doprawdy żadnego powodu – pisał w styczniu 1863 – aby żyzne doliny Bonito, Pecos i ich dopływów miały być dalej nie uprawiane, a bogactwa tej części kraju ...nie wykorzystane.*

Drugą doktryną, która stała się kamieniem węgielnym amerykańskiej polityki wobec Indian było przekonanie, że problem indiański zostanie rozwiązany, gdy krajowcy osiedlą w rezerwach i tam, po zaznajomieniu się z uprawą ziemi, będą pracować na swe utrzymanie. Kit Carson szczerze podzielał ten pogląd. Jako agent wielokrotnie zalecał rządowi osadzenie Ute w rezerwacie leżącym jak najdalej od białych osiedli i pomógł im zostać rolnikami. Pobliski garnizon miał ich chronić przed niepożądanymi białymi i wrogimi Indianami.

mi. Było to założenie niemal identyczne z tym, które generał Carleton obrał w Bosque Redondo, a które miało tak tragiczne skutki dla Nawahów. To, że Carson przyklasnął temu planowi, zgodnemu z jego z dawna wyrażanym poglądom nie powinno stanowić zaskoczenia.

Aby zrozumieć przebieg wojny z Nawahami w latach 1863-64 należy wczuć się w atmosferę wzajemnego strachu i nienawiści, jakie cechowały stosunki między Nawahami a mieszkańcami Nowego Meksyku. Od pokoleń – wpraw pod władzą Hiszpanii, potem Meksyku, a w końcu Stanów Zjednoczonych – Nawahowie rabowali, terroryzowali, brali w niewolę i zabijali Nowomeksykanów. Ci, na mniejszą skalę, robili to samo z Nawahami. Nowomeksykanie dostarczali Nawahom broni i amunicji, dzięki której ci ostatni zabijali i rabowali innych mieszkańców Nowego Meksyku, za zdobyte towary nabywając nową broń. Ten wzorzec postępowania wytworzył się w ciągu ponad stu lat praktyki i żadnej ze stron nie przyszło łatwo go zmienić.

Całą sprawę komplikował ponadto fakt, że polityczna organizacja Nawahów była niezwykle rozczłonkowana i demokratyczna. Najazdy przeprowadzali głównie nieliczni banici, *ladrones* i nie były one uznawane przez *ricos*, którzy z racji swej zamożności zasiadali we władzach plemienia. Wodzowie nie mogli jednak niczego wymusić na *ladrones*, a ta cecha życia Nawahów uchodziła uwagi Amerykanów, którzy domagali się, aby wodzowie wzięli odpowiedzialność za zachowanie wszystkich współplemieńców.

Ponadto odwet mieszkańców Nowego Meksyku spadał zwykle na pokojowo nastawionych *ricos*, gdyż ich bogactwa nie tylko stanowiły pożądany łup, ale znajdując się w jednym miejscu z ograniczonym polem manewru, byli łatwiejszą zdobyczą. Postępujące zubożenie zmieniło *ricos* w *ladrones*, osłabiając pokojowe ugrupowanie Nawahów i wzmacniając stronnictwo wojenne.

Gdy więc generał James H. Carleton postanowił skończyć na zawsze z plagą Nawahów, istniała już wzajemna niena-

wieść – podsycona od pokoleń rozlewem krwi, rozbojami i niewolnictwem – z jaką traktowały się obydwie strony. Gdyby ktoś zechciał podporządkować w tym przypadku strategię lub taktykę humanistycznym ideałom, pominałby krzywdy i namiętności całych pokoleń.

Kit Carson był posłusznym narzędziem generała Carletona – w dwojakim tego słowa znaczeniu. Po pierwsze, musiał z racji stopnia w hierarchii wojskowej spełniać określone powinności. Jako pułkownik słuchał rozkazów swego zwierzchnika – generała brygady. W tym przypadku przełożonym okazał się wyniosły, władczy autokrata, żądający natychmiastowego posłuchu. Po drugie, Carsona cechował wrodzony szacunek do ludzi reprezentujących władzę, co jest zrozumiałe u niepiśmiennego człowieka pogranicza obracającego się w kręgach intelektualistów. Podobnie jak kiedyś Johna C. Fremonta, tak teraz darzył Carletona, starego druha, pod którym służył przed dziesięcioma laty, niezachwianą lojalnością, podziwem i posłuszeństwem, co dało powód do zarzutów, że był ślepyim narzędziem wojskowego despoty z Santa Fe.

Obydwaj stworzyli tandem zwycięzców. Kit znał kraj, Indian i nowomeksykańskich ochotników, z których składało się wojsko. Wykazał się dowódczymi uzdolnieniami i odniósł kilka sukcesów w polu. Jednak decydującym czynnikiem okazały się kwalifikacje dowódcze Carletona. Wręcz po ojcowsku manipulując podwładnymi – raz szturchając, raz besztając, ganiąc lub chwając – nadał przedsięwzięciu kierunek, rozmach i z niezwykłą energią zapewnił mu sukces w warunkach, gdzie wszystko mogło skończyć się zamieszaniem i nieładem. Sam Carson nie podbił Nawahów zimą 1863-64. To duet Carleton-Carson zasługuje na sławę, bądź – jak kto chce – na potępienie.

Podbój Nawahów nastąpił w trzech etapach, z których każdy z osobna podlega osądowi historii i swych ofiar. Te etapy to: działania bojowe Carsona zimą 1863-64, „Długi Marsz” przez Nowy Meksyk ku rzece Pecos w 1864 roku oraz czteroletnie zesłanie do rezerwatu Bosque Redondo w latach

1864-68. Kit Carson nie miał wiele (lub w ogóle nic) wspólnego z Długim Marszem czy z eksperymentem w Bosque Redondo, choć z pewnością usprawiedliwiał ten drugi, jeśli nie pierwszy. Może natomiast w pełni odpowiadać za nagonkę na plemię, co umożliwiło dwa końcowe etapy.

Łowy na Nawahów nie były pomysłem Carsona, ani nawet Carletona. Poprzednik tego ostatniego, generał Edward R.I. Canby doszedł do wniosku, że jedynym rozwiązaniem nie kończącego się konfliktu z Nawahami jest *ich przeniesienie i skolonizowanie w miejscach tak odległych od osiedli, by całkowicie oddzielić ich od mieszkańców Terytorium*. Wybuch wojny domowej przeszkodził planowi otoczenia Nawahów i zesłania ich do dalekiego rezerwatu. Carleton przejął więc pomysły Canby'ego.

Podstawą strategii Canby'ego było odrzucenie różnicy między *ricos* i *ladrones*. Całe plemię powinno odpowiadać za postępowanie swych członków. *Wśród Nawahów nie ma żadnego pokojowego stronnictwa...* – pouczał Carleton jednego ze swych oficerów. – *Całe plemię to wojenne stronnictwo i będzie traktowane jako takie... Zasada jest prosta i nie wymaga dalszych objaśnień.*

Obława kierowana przez Kita Carsona była wojskową operacją, przeprowadzoną w czasie wojny. Dla obydwu stron podczas wojen nawajskich od czasu przybycia Hiszpanów celem ataków na wroga byli i ludzie, i dobytek. Celem Carsona było jednak przede wszystkim zubożenie, a nie zabijanie Nawahów. Wraz z Carletonem spodziewali się, że zniszczenie plemienia ogrodów, pól, spichlerzy, chat i koni załamie jego wolę oporu. Masowe oddawanie się w niewolę, jakie miało potem nastąpić umożliwiło przesiedlenie do odległego rezerwatu, o czym zamyślał Canby.

Obława na Nawahów była niejako zapowiedzią „totalnej wojny”, którą generałowie William T. Sherman i Phillip H. Sheridan rozpoczęli w rok później przeciw Konfederacji Południa. Oparła się na tych zasadach, które tłumaczyły marsz Shermana z Atlanty do morza i spustoszenie doliny

Shenandoah przez Sheridana. Była to owa totalna wojna, którą ci sami generałowie mieli po wojnie domowej poprowadzić przeciw Indianom z Równin.

Wojna totalna dotknęła wszystkich. Cierpieli mężczyźni, kobiety i dzieci, czasami nie-kombatanci i to częściej z głodu i niewygód niż od karabinowych kul. Wszystkich dręczył strach i poczucie zagrożenia, co rodziło kapitulacyjne nastroje. Objęcie wojną również rodziny wojownika było celowym zamierzeniem, obliczonym na szybsze zakończenie wojny i tym samym bardziej humanitarne.

Carson przeprowadził swą obławę na tych zasadach. Podczas pięciu odrębnych pochodów przez kraj Nawahów zagarnął ich stada, zniszczył plony i ogrody, nie dając im chwili spoczynku i coraz bardziej demoralizując. Jeszcze bardziej niszczące były najazdy osobnych łupieskich wypraw, nad którymi nie miał żadnej kontroli: Ute, Pueblo z wiosek Zuni, Jemez i Hopi oraz Nowomeksykanów z osiedli nad Rio Grande. Pod koniec 1863 roku wyprawy te przyniosły śmierć siedemdziesięciu ośmiu i rany czterdziestu Nawahom, co trudno uznać za hekatombę. Jednak poczynione spustoszenia podziałały paraliżująco na umysły. W marcu 1864 roku poddało się sześć tysięcy ludzi – połowa plemienia. Pod koniec roku ponad osiem tysięcy Nawahów wyrzucono z ojczyzny i osadzono na jałowych pustkowiach Bosque Redondo.

Z czysto wojskowego punktu widzenia zarówno plan, jak i jego wykonanie zakończyły się pełnym sukcesem.

Rozpatrując sprawę w kategoriach humanitarnych, szczególnie z perspektywy czasu, podbój Nawahów nie pozwala na wydanie podobnie jednoznacznej oceny.

Mój prywatny pogląd jako historyka jest następujący: obława Kita Carsona na Nawahów nie była bardziej okrutna niż większość wojen w dowolnym miejscu i czasie, a z pewnością nie bardziej okrutna niż wiele działań prowadzonych w tym samym okresie na południowym i wschodnim teatrze wojny domowej. Strategię opracował Carleton wzorując się na Canbym. Jej ce-

lem było zadanie Nawahom tyle cierpień, aby zmusić ich do kapitulacji i opuszczenia ojczyzny. Carson zrealizował ją w pełni, choć niezależnie od niego działające wyprawy cywilów i indiańskich sojuszników przysporzyły Nawahom nie mniej cierpień niż jego wojskowe operacje. Chcąc przekonać osobliście Carsona o jego niehumanitarnym postępowaniu należałoby podobnie postąpić z niezliczonymi dowódcami, jacy przewinęli się przez karty historii, włącznie z tymi, co nakazali bombardowanie Tokio i Berlina podczas drugiej wojny światowej czy Hanoi w czasie wojny wietnamskiej. Wojna to nie rzemiosło humanistów.

Moim zdaniem to generałowi Carletonowi trudno się obronić pod zarzutem nie-ludzkiego postępowania. W roku 1863, w od pokoleń wytworzonej atmosferze wzajemnej nienawiści i złej woli jego strategię można było usprawiedliwić nakazem chwili. Przeprowadzona przez Carsona obława na Nawahów nie pociągnęła za sobą więcej ofiar niż to było konieczne.

Potem przyszedł Długi Marsz, a za nim Bosque Redondo. Tutaj to właśnie doszło do nie-ludzkiego postępowania i Carleton ponosi tu największą odpowiedzialność.

Długi Marsz nie wymagał tych ofiar, jakie pociągnęła za sobą obława. Plemię poszło do niewoli. Carleton nakazał wojsku przeprowadzić je przez Terytorium tak, aby oszczędzić mu trudów i cierpień. Nędzy, która dotknęła Indian zawiniło nie tyle brutalne traktowanie ich ze strony armii, co nieudolność administracji i brak wyobraźni. Te zaś wynikiły raczej z niekompetencji i z nieudolności, niż z nagłego i w sumie nieoczekiwanego sukcesu Carsona; nikt nie przewidywał kapitulacji połowy Nawahów. Carleton jako głównodowodzący ponosi jednak główną odpowiedzialność.

Największą nieudolnością popisał się Carleton w Bosque Redondo. Nie mogło ono zapewnić tyłu Indianom utrzymania się z rolnictwa, zresztą rząd okazał się niezdolny do udzielenia im w tym celu pomocy. Rok po roku Carleton trwał uparcie przy swoim, nie przyznając się do błędu, choć flaska całego przedsięwzięcia było jasne

dla każdego i tragedia tak długi czas stała się udziałem tylu niewinnych ludzi.

Jeszcze gorsza dla Nawahów od głodu i chorób była tęsknota za ojczyzną. Zdaje się, że Carletona z jego ograniczonością i brakiem zrozumienia dla innych kultur nie możemy winić za to, że nie mógł pojąć głębi uczuć, jaką darzyli Nawahowie swój kraj. Wszelkie uzasadnienia zerwania ich korzeni z ojczyzną nie miały dla nich sensu i tylko przyczyniały się do zadawania nie-ludzkich, niepotrzebnych cierpień.

Z teraźniejszej perspektywy, głęboko odczuwając niesprawiedliwość wyrządzoną Indianom, próbujemy wyszukać winnych tego, co zaszło. Sprawiedliwość wymaga jednak, abyśmy zrozumieli warunki, w jakich przyszło działać naszym przodkom i potępić ich surowo jedynie wtedy, gdy pogwałcili normy swego czasu i miejsca. Ta przestroga – co należy podkreślić z całym naciskiem – winna być brana pod uwagę przy osądzeniu tak Indian, działających w obręb swojej kultury, jak i białyń. Mając to na uwadze twierdząc, że Kochany Stary Kit był daleko mniejszym łotrem niż James H. Carleton.

Robert M. Utley

Przetłumaczył Aleksander Sudak

* Powyższy tekst to przeznaczony do druku odczyt o Kicie Carsonie, jaki wygłosił Robert M. Utley 1 sierpnia 1993 roku na sympozjum zorganizowanym przez Kit Carson Historic Museums w Taos. Jego celem było odbiorzenie postaci Kita Carsona, który w oczach współczesnych Nawahów uchodzi za diaboliczną figurę w ich historii, sprawcą nieszczęść ich przodków. Co ciekawe, aż do lat siedemdziesiątych naszego wieku Nawahowie nie mieli nic przeciw Carsonowi, dopóki biali akademicy nie kazali im go znieawidzić, co też czynią. Artykuł o nim drukujemy za zgodą dyrektora Kit Carson Historic Museums, pana R.C. Gordon-McCutchana, do którego Bob Utley pisał: *Jeśli nawet nie przekonamy Nawahów, że Kit był bohaterem, to może przedstawimy go we właściwym świetle Polakom.*

AS

Andrzej Pankalla

HAVASUPAI Ludzie błękitno-zielonej wody

*What is a moon?
It is when the moon comes
and goes away.
Where does it go?
We don't know.**

Markowi Cichomskiemu
z podziękowaniem za pomoc w pracy magisterskiej
i życzeniami wyprawy na te tereny.

Kanion Kolorado, miedziano-czerwone skały, przepaść na ich skraju, a słońce pali nie-miłosiernie. Jest jeszcze wiatr, dużo wiatru, który rozwiewa plach, włosy, zmęczenie.

Droga w dół prowadzi do państwa, stolicy i jedynego zarazem skupiska Indian Havasupai. Robi się coraz duszniej, ściany kanionu skutecznie chronią jego dno od letnich powiewów, zimowego chłodu, natrętnych ludzi. Dają też możliwość zorganizowania skutecznego oporu przeciw najazdom Yavapai. Ci zdążyli już zasmakować w wybudanej havasupajskiej kukurydzy i smacznej dyni. Kobiety z kanionu też wydają się im pociągające.

Jawi się pustyne dno kanionu. Słychać także nieodłączne już teraz echo. Podwaja głos, udziwnia, wzmacnia i dobre myśli. I dobre myśliłi...

Jest lato, a więc błękitno-zieloni powinni być u siebie. Już dawno wrócili z zimowych łowów na Coconino Plateau. Robią tak od początku swego świata. Wiosną i latem zajmują się uprawą na dnie, po czym przenoszą się w górę kanionu, żeby zapolować na jelenie i dzikie króliki. Sąsiedzi kojarzą ich jednak z rzeką na dole, z niej bowiem się wywodzą. Ona im daje wodę, a więc wszystko; oni jej dają wszystko, czyli siebie, swe życie przy niej.

Wysoka topola jest znakiem, że plach i kamienie zamieniają się zaraz w zieleność.

Wcześniej jednak słyhać wodospad. Po paru krokach otoczenie zmienia się tak bardzo, że nie jesteś pewien czy miejscowe duchy nie próbują z ciebie zakpić. Rośnie jałowiec, sosna *ponderosa*, żółto-zielona dynia, widać też sprawcę tego wszystkiego – rzekę Havasu. Trudno powiedzieć czy oni ją czczą, na pewno jest dla nich bardzo ważna, szanują ją, bo wiedzą, że pochodzą z tej wody, są z niej, są tą rzeką. Jest też coś, czego się obawiają – to skała Havasu. Od prapoczątków, patrząc od strony ich plemiennych terenów na prawo w górę, widniała nad nimi, o kształcie maczugi z wąską podstawą trzonka. Z daleka robi wrażenie filigranowej, lecz gdyby spadła na ich włoskę, mogłaby zniszczyć wszystko. Proszą więc swoich bogów, by nie pozwolili na to, co nazywają końcem świata. Są przekonani, że koniec ich małego świata jest równy końcowi świata w ogóle. I nie mylą się.

Oto i wieś Supai. Drewniane domki pokryte płatem ziemi, przed nimi często dodatkowe konstrukcje dające schronienie przed słońcem. Wszystko to wygląda na zbyt małe, by pomieścić Havasu-mamę, Havasu-tatę i ich liczne potomstwo. Służy jednak tylko na noc.

Stary Pai siedzi właśnie przed swym domem i przygotowuje do użytku kozłową skórę. Nogami przytrzymuje koniec długiego kawałka, rękoma rozciąga go wszcz, zaczynając od góry. Robi to powoli, nie spiesząc się; wie, że do zmlerzchu jest jeszcze daleko. Można powiedzieć, że jest tutaj wodzem, choć nikt tego tak nie nazywa. U nich stajesz się nim po prostu w pewnym czasie, gdy wszystkim zaczyna się wydawać, iż ty możesz nim być, a co lepsze – sam doznajesz tego uczucia. Nie ma wyborów, jest ktoś jeden, kogo darzy się największym szacunkiem, choć i tego tak się nie nazywa.

Dochodzą głosy ze środka chaty: któraś z kobiet Havasu uciekła z mężczyzną Hopi i to jest tematem dyskusji. Wprawdzie zawsze żył dobrze z Hopiami, którzy tylko czasami oszukiwali w międzyplemiennym handlu, lecz żyć z dala od rodzinnej wioski

wyduje się czymś niesamowitym. Mało młodych mężczyzn Havasupai jest w ich osadzie? Mało próbowało zyskać jej względy po ostatnim polowaniu? Jeden przyniósł jej rodzicom aż pięć królików *Iapu...*

Ludzie tego plemienia mówią niezwykle powoli. Robią długie przerwy w rozmowie, wznosząc przy tym wzrok w górę lub patrząc w bok. Wygląda to jakby się zamyśiali. Nie śpieszą się, do zachodu słońca jest daleko. Po zachodzie zaś śpią.

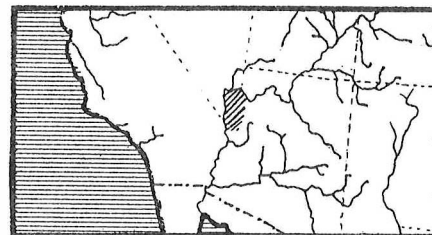
Woda ich rzeki dopływa małymi kanałami do rzędów dyni, przy których pracuje grupa kobiet. Pochylone wybierają co dorodniejsze sztuki, składając na stosie. Dzieci Havasu bawią się w wodospadzie, które dłużej wytrzyma pod wodą, a stary Pai odgania muchę sprzed czola.

Tak jest do dzisiaj, może tyle, że mają jeszcze rodeo (kochają konie), jedyną w Stanach pocztę konną (no bo jak wydostać się z kanionu?) i szósty punkt konstytucji plemienną zabraniającą kapania się nago w ich wodospadach. Może też nie garbują już skór, nie polują, nie walczą z Yavapai. Pewnie też nie migrują na zimę w górę, chyba żeby kupić whisky w mieście, bo w Supai zabrania się jej rozprowadzania.

HAVASUPAI

Znaczy „ludzie błękitnej (lub zielonej) wody”. Nazwa skracana czasem do *Supai*. Zwani także:

Ák'-ba-su'-pai – przez Walapai
Ka'nina, Coconino, Cosntno, Kokontno – przez Indian Zuni. Jest to nazwa zapożyczona od Indian Hopi i znaczy „orzechowi ludzie”.
Naród Wterzb – przez Cushinga.
Yabipal Jabesva – przez Garcesa w 1776.



Za to nadal lubią swą rzekę, gdy popłją to i skała Havasu zaczyna jakoś niebezpiecznie drgać, a czasu nie liczą, bo i po co? Do zmlerzchu daleko, a potem się śpi...

Andrzej Pankalla

P.S. Mówimy, że Indianie piją, Murzyni to brudasy i nie chcą pracować, a Aborygeni niszczą najpiękniejsze prezenty rządu Australii (w nowych mieszkaniach z kuchnią rozpalają na parkietce ogniska). A co mają, do diabła, robić, skoro ich kultury nie przyjęły za podstawową zasadę permanentnego zwiększania potrzeb indywidualnych, a takiej niepisanej regule holdują ludzie, którzy dokonali na nich konkwisty. Zapomnieliśmy, że jako cywilizacja jesteśmy **wyjatkami**, nie zasadą! Praca i pieniądz na piedestale to jedna z form spędzenia życia na tym świecie. Nie najlepsza. Oni żyli inaczej! A teraz piją...

Dlaczego? Do zmlerzchu daleko, a potem się śpi...

* Czym jest księżyc? /To wtedy gdy księżyc przychodzi/i odchodzi./Dokąd odchodzi? /Nie wemy.

Język: Havasupai należą do **jumańskiego** odłamu **hokańskiego** grupy językowej. Bliżsi związani z Walapai, a także z Yavapai.
Rozmieszczenie: Zamieszkali w kanionie Katarakt nad rzeką Kolorado w północnej Arizonie.

Historia: Plemię Havasupai wywodzi się prawdopodobnie od Indian Walapai. Francisco Garces spotkał kilku Havasupai w 1776 roku. Po raz pierwszy opisał ich Joseph Leroux w 1851. Od tego czasu ich kontakty z białymi nasiliły się.

Liczność: James Mooney oszacował liczbę Havasupai na 300 osób w 1680 roku. Leslie Spier uważała jednak, że w tym roku ich liczba była znacznie wyższa. Trzystu Havasupai odnotowano w 1869. W 1902 było ich 233, a w 1905 tylko 174. W 1910 było ich również 174, ale w 1923 już 184. W 1930 Havasupai razem z Walapai liczyli 646 osób, natomiast w 1937 samych Havasupai było 208.

Instytut Sztuki Indian Amerykańskich

Instytut Sztuki Indian Amerykańskich, Turylczej Kultury Alaski i Rozwoju Sztuki (Institute of American Indian Arts – IAIA) jest placówką rozwijającą się i wibrującą energią procesu twórczego, w której Indianie nadają kształty własnym koncepcjom, materializują obrazy wyobraźni, tworzą własne filmy i spisują własne opowieści. W trzy dziesięciolecia po powstaniu Instytutu ma się czym poszczycić i – tym bardziej – czego oczekiwać.

– To ogromna odpowiedzialność – przyznała w jednym z wywiadów Kathryn Harris Tjerina, dyrektorka koledżu. Tjerina, członkini plemienia Komanczów i dyrektorka IAIA od sierpnia 1989 roku, wskazała, że IAIA to – jedyny koledż w kraju zajmujący się wyłącznie studowaniem i praktykowaniem artystycznych tradycji wszystkich kultur amerykańskich Indian i alaskańskich tubylców. I dlatego kształcimy twórczego ducha nowego pokolenia indiańskich artystów.

A będzie to bardzo zróżnicowane pokolenie. W tym roku (1991) do IAIA uczęszcza ponad 200 studentów z 70 plemion i 30 stanów. Są wśród nich studenci wychowani w rezerwach i studenci z wielkich miast, którzy mieli niewiele kontaktów z innymi Indianami. Około 10% studentów to nie-Indianie, pochodzący nawet z tak odległych krajów, jak Japonia.

Przybywają oni do IAIA, żeby studiować malarstwo, fotografię i garncarstwo. Uczą się rzeźbiarstwa, dramatopisarstwa, sztuki teatralnej i grafiki. Zajmują się jubilerstwem, projektują modę, kręcą filmy. Pracują z artystami, spotykają się z tradycyjną starszą z całego kraju, z tradycyjnymi aktorami z całego świata i studentami z najróżnorodniejszych plemion i grup etnicznych. To Narody Zjednoczone indiańskich narodów, jedność w różnorodności. To coś wzbogacającego, kształcącego, rozwijającego i fascynującego.

– Być może bardziej niż cokolwiek innego – mówi Tjerina – IAIA stwarza zupełnie wyjątkowe środowisko, w którym studenci uczą się i rozwijają swoje artystyczne umiejętności oraz poszukują nowych sposobów wyrażenia swych przekonań przez tworzenie sztuki współczesnej. To środowisko, w którym zachęca się ich do doceniania wartości i trafności tradycyjnego myślenia i filozofii, i do poszukiwania sposobów włączania plemiennych tradycji do swojej przyszłości. I mamy nadzieję – kontynuuje – że opuszcza IAIA z wiedzą i umiejętnościami przydatnymi w dalszym życiu, w życiu ich plemiennych społeczności i świata.

– Wierzmy, że możemy w tym pomóc naszym studentom – dodaje – ponieważ indiańska kultura jest całościowa. W indiańskim sposobie myślenia, sztuka i nauka, na przykład, są ze sobą powiązane. Dlatego, starając się reintegrować naukę i technikę z codziennym życiem, IAIA stara się również uczynić ze sztuki część codzienności.

– Coś wspaniałego wydarzyło się przed trzydziestu laty – mówi Richard Hill, nowo-mianowany dyrektor Muzeum IAIA – Narodowej Kolekcji Współczesnej Sztuki Indiankiej. – IAIA przedefiniowało rolę sztuki w życiu Indian, zachęcając nowe pokolenie do wyrażania swego stosunku do współczesności za pomocą sztuki.

Wielu z najbardziej utalentowanych indiańskich malarzy, rzeźbiarzy, grafików, jubilerów, projektantów mody, rzemieślników, tancerzy i nauczycieli zebrało się, by stworzyć nową szkołę – popierającą nowy typ indiańskiej ekspresji i umacniającą zarazem wartości i tradycje przeszłości. Z tej twórczej mieszanki powstają jedne z najwspanialszych dzieł artystycznych, stworzonych kiedykolwiek przez Indian.

Lista ludzi zaangażowanych w działalność IAIA jako pracownicy naukowci, admi-

nistracyjni i studenci to zarazem lista honorowa współczesnej indiańskiej sztuki. Allan Houser, T. C. Cannon, Dan Namlingha, Earl Bliss, Denise Wallace, Linda Lomahaftewa, Jean LaMarr, Doug Hyde, Joy Harjo, Kevin Red Star, Charles Loloma, Fritz Scholder, Toney Abeyta, czy David Bradley to tylko niektórzy.

Założony pierwotnie w 1962 roku w ramach Departamentu Spraw Wewnętrznych, Instytut przekształcił się zasadniczo w lipcu 1988 roku, kiedy to otrzymał od Kongresu status uczelni federalnej. Uzyskany wówczas unikalny status pozwala IAIA z optymizmem patrzeć w przyszłość.

Obecnie jest to prywatna, nie nastawiona na przynoszenie dochodów, organizacja, z indiańskim kierownictwem, o szerokim zakresie działania i ambitnych planach, w które wierzy oddane Instytutowi grono ludzi. Plany te obejmują nowe miasteczko akademickie, nowe muzeum, czteroletni program studiów i ośrodek badań nad kulturą, wspieranie opartej na kulturze edukacji i tubylczej sztuki dla dobra całego indiańskiego świata.

Jeden z najbardziej fascynujących projektów – budowa nowej siedziby dla liczącej ponad osiem tysięcy eksponatów kolekcji sztuki indiańskiej – jest już daleko zaawansowany. Do zrealizowania projektu wybrano dwóch znanych architektów, którzy przekształcają wnętrze historycznego budynku IAIA w centrum Santa Fe w miejsce prezentacji indiańskiej sztuki i kultury z indiańskiej perspektywy. Antoine Predock jest znanym w kraju i wielokrotnie nagradzanym architektem z Albuquerque. Współpracuje on z firmą pochodzącego z plemienia Caddo innego cenionego architekta z Albuquerque, Louisa L. Weller. Weller jest byłym przewodniczącym i jednym z liderów Indiańskiej Rady Architektów i Inżynierów.

– Zadaniem Muzeum jest służyć trzem różnym grupom ludzi – mówi Rick Hill, Tuskarora z Buffalo w stanie Nowy Jork. – Za pośrednictwem programu szkoleń w dziedzinie zarządzania kulturą pragniemy służyć całej społeczności Indian i tubylców Alaski

jako ogólnonarodowe muzeum i ośrodek badawczy. Pragniemy pomóc nie-Indianom w zrozumieniu złożoności i znaczenia indiańskich kultur oraz roli, jaką odgrywają Indianie w sposobie myślenia większości społeczeństwa. I co najważniejsze, służymy naszym studentom jako stałe źródło inspiracji.

Do przodu posuwają się też plany budowy nowego miasteczka akademickiego, rozszerzenia programu nauczania i pozyskiwania nowych funduszy. Stało się to możliwe m.in. dzięki dotacji trzystu tysięcy dolarów od Fundacji Johna D. i Catherine T. McArthur z Chicago.

Nowe miasteczko akademickie, mające powstać na 140 akrach ziemi ofiarowanej Instytutowi na południe od Santa Fe, u stóp gór Sangre de Cristo, będzie pierwszą siedzibą IAIA z prawdziwego zdarzenia – nowym domem z odpowiednimi studiami, pracowniami, akademikami i biblioteką.

Patrząc z tradycyjnej perspektywy, sztuka pomaga światu funkcjonować. Oddaje ona sposób myślenia, który może poprawić jakość życia w nie mniejszym stopniu, niż najnowocześniejsze zdobycze nauki i techniki. Może być częścią modlitwy, obrzędu, tańca, protestu, uzdrawiania i odżywiania. Odgrywa także istotną rolę w życiu rodzinnym i społecznym.

Sztuka służy zwykle zrobić wszystko, by przekształcić widza i twórcę. Dla Indian być może bardziej, niż dla innych ludzi, sztuka jest też podstawowym środkiem interakcji ze światem. Dzięki sztuce Indianie są w stanie zachować tradycyjne wartości i odnajdować swoje miejsce we współczesnym świecie.

Czyż może być lepsza okazja do świętowania trzydziestolecia Instytutu Sztuki Indian Amerykańskich i otwarcia nowego muzeum, niż przypadające na 1992 rok pięćsetlecie wyprawy Kolumba? Jakże istotny jest głos Indian, który przypomina światu, że Indianie wciąż jeszcze istnieją i mają się dobrze. Że w XX wieku nadal wykorzystują mądrość swoich przodków – żyjąc z tradycją i penetrując granice artystycznej wyobraźni.

Tłumaczenie Marek NowoCIEŃ

Na podstawie: *Winds of Change*, Winter 1991

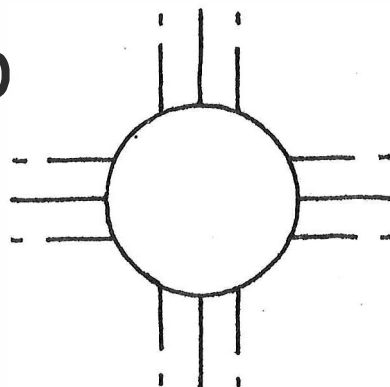
LUCI TAPAHONSO

Luci TAPAHONSO – ur. 1953 w Shiprock (Nowy Meksyk). Poetka i dziennikarka Nawaho. Ukończyła Uniwersytet Nowego Meksyku i obroniła tam doktorat z literatury współczesnej. Mieszka w Albuquerque. Opublikowała tomiki poezji: *One More Shiprock Night* (1981) i *Seasonal Woman* (Tooth of Time Books, Santa Fe 1982), skąd pochodzą wiersze *Pasterski blues* oraz *Śluchajcie*. Natomiast wiersze o jej córkach, *Misty Dawn* i *Lori Tazbah* zaczerpnięto z antologii *The Remembered Earth* opracowanej przez Geary Hobsona (University of New Mexico Press, Albuquerque 1981).

Poezja Luci Tapanonso natchniona jest optymizmem zwykłego, codziennego życia. „Bez wątpienia Luci znajduje zadowolenie w prostym życiu – wieszając pranie w wietrzne dni, śniąc na jawie gdy pasie stado czy też czując zapach niemowlęcia – napisał John Nichols we wstępie do *Seasonal Woman*. – Jej kultura Nawaho przetrwała lata ekonomicznych, politycznych i społecznych zniewag, które trwają nadal; stąd zawsze, pod delikatnym obrazem z jej życia, grasują mroczne potwory zagubionego i rasistowskiego społeczeństwa. Czasami potwory te wydostają się spod jej czystych, niewyszukanych strof z siłą, która przeraża.”

Misty Dawn

ten żywioł miłości
jaką czuję do ciebie
odtworzony we mnie
w łagodnych kopnięciach
skokach pulsu
w ciepłym mroku
mego wnętrza

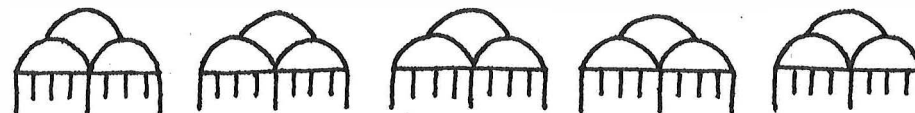


Dla Lori Tazbah

wieczorem mocno padało
uderzył piorun
zmroziła mi się krew.
Łapałam oddech
i myślałam o tobie
spałaś niewinnie
oddech równy, spokojny
nieświadom mej nagłej paniki.

rok temu nauczyłaś się
na pamięć
ślubowania, bezbłędnie.
nauczycielka dumna jest
z twego idealnego ukłonu.
kiedy poprosiła wszystkich
by usiedli „po indiańsku”,
ty spytałaś dlaczego siedzenie
z nogami na krzyż
ma być po indiańsku
gdy wszyscy tak zrobili.

masz już sześć lat,
tak długo czekałaś
na swą „prawdziwą szkołę”
bez drzemki, przekąsek
i kolorowanek.
jesteś niecierpliwa i chcesz się
uczyć czytać i siedzieć w klasie.
pierwszego dnia, gdy poszłaś
płakałam wiele godzin.



Śluchajcie

*Przyjaciel w szkole średniej
powiedział mi: Nie wychodź za
mężczyznę, który nie umie śpiewać.
To coś nie tak, gdy mężczyzna
nie umie śpiewać po indiańsku.*

Mówię córkom:

Gdy wasz tata albo dziadek śpiewa –
bądźcie cicho i słuchajcie. Trzeba słuchać,
niech ta pieśń was przeniknie. Śmieszna
piosenka czy pieśń myśliwska – trzeba
słuchać i obserwować jaki jest, gdy śpiewa.
Pomoże to wam rosnąć silnie
i dobrze myśleć o sobie.

Słuchajcie ojca

obserwujcie jak na was patrzy, gdy śpiewa
zauważcie zmianę jego głosu
wewnętrzne wibracje
gdy was trzyma
i tuż przed zaśnięciem, moje córki
gdy was całuje lekko w czoło
ostrożnie żeby nie zbudzić

gdybyście widziały jego oblicze
półuśmiech gdy was przykrywa
czasem musi was rozplątać
pochylając się nad łózkami cmokając
ze zdziwienia jak śpicie dziewczynki
wszystko poplątane
wszędzie nogi i ręce.

bierze głęboki oddech

gdy wyłącza światło
uśmiechając się trochę

w modlitwie po pieśniach.

Pasterski blues

Zapisałam się do NCC na rok
– powiedziała
było ekstra.
Trochę popijania i burd.
Szło mi raczej kiepsko.
Ale było ekstra.

Tej przyjaciółki
nie widziałam z rok czy dwa.
To ci dopiero niespodzianka.
Odprowadziłam ją
na najbliższy autobus
do Gallup.

Pojechałam do Oklahoma City
– powiedziała
na wakacje, odwiedzić przyjaciół,
trochę się zabawić.
Ale złapałam pasterskiego bluesa
w Oklahoma City.

Martwiłam się ciągle o stado
czy wszystko O.K.
naprawdę mi go brakowało,
tych długich dni na słońcu.
Po czterech dniach
musiałam wyjechać
z Oklahoma City.

I pojechała
pierwszym autobusem do Gallup,
potem dwie godziny samochodem
do swego stada.

NCC – Navajo Community College

Wiersze przełożył MAREK MACIOŁEK

Indianka

szefem Biura do Spraw Indian

Zgodnie z oczekiwaniami prezydent Bill Clinton mianował wiceministrem spraw wewnętrznych panią Adę Deer, 57-letnią działaczkę społeczną ze stanu Wisconsin. Jest ona pierwszą kobietą mianowaną na fotel wiceministra odpowiedzialnego za nadzór nad Biurem do Spraw Indian (dawniej był to tzw. Komisarz do Spraw Indian). Ada Deer jest członkinią Narodu Menomoni, znaną od lat z działań na rzecz obrony praw i rozwoju swego ludu oraz innych tubylczych społeczności w USA.

Czy będzie lepiej w indiańskich szkołach?

W Stanach Zjednoczonych istnieje obecnie 31 indiańskich szkół średnich – koleżków (o 2 więcej, niż przed rokiem). Nową przewodniczącą zrzeszającego je Konsorcjum Szkolnictwa Średniego Amerykańskich Indian (American Indian Higher Education Consortium) została niedawno Margaret C. Perez, dyrektorka Fort Belknap College z Montany. Za swoje główne zadanie szefowa AIHEC uznała poprawę sytuacji finansowej indiańskiego szkolnictwa. Statystyki wykazują bowiem, że na jednego indiańskiego ucznia szkoły średniej wydaje się zaledwie 3000\$, podczas gdy na jednego białego ucznia – 7000\$, a na uczniów z koleżków murzyńskich – po 17000\$.

Nadużycia w indiańskiej policji

Trawiące przez pół roku śledztwo prowadzone przez agencję prasową Associated Press ujawniło, że podlegający Biuru do Spraw Indian (BIA) policjanci z 61 indiańskich rezerwatów traktują podejrzanych brutalniej, niż są to skłonne przyznać publiczne władze federalne. Śledztwo wykazało,

że policjanci często rutynowo stosują przemoc i są rzadko karani za nieuzasadnione użycie siły wobec podejrzanych. Skargi Indian na postępowanie funkcjonariuszy BIA trafiają zwykle do ich kolegów i rzadko są wnikliwie rozpatrywane. Zdaniem autorów raportu publiczne ujawnianie takich faktów oraz poddanie policji w rezerwach lokalnej kontroli rad plemiennych mogłoby przynieść poprawę sytuacji. Tymczasem okazało się, że BIA cenzurowało nawet informacje przekazywane autorom raportu o nadużyciach w policji BIA.

Redukcje w Indiańskiej Służbie Zdrowia

Historyczne traktaty z Indianami zobowiązały rząd federalny USA do zapewnienia opieki zdrowotnej członkom tubylczych plemion w zamian za ich rezygnację z praw do milionów hektarów ziem plemiennych. Biuro do Spraw Indian (BIA) zapewniło tę opiekę finansując szpitale i przychodnie Indiańskiej Służby Zdrowia (Indian Health Service), a także opłacając lekarzy i pielęgniarki zatrudniane na kontraktach przez rady plemienne. Zaproponowany przez prezydenta Clintona projekt budżetu na 1995 rok przewiduje 1,8 mld dolarów na potrzeby IHS, czyli o 247 mln dolarów mniej, niż rok wcześniej. Projekt przewiduje też zmniejszenie zatrudnienia w liczącej 15000 osób Indiańskiej Służbie Zdrowia o 1700 osób w ciągu 4 lat. Ponieważ poprawa opieki zdrowotnej była jedną z obietnic wyborczych prezydenta, projekt ograniczenia opieki medycznej nad 2 milionami Indian w USA spotkał się z ostrą krytyką wśród tubylczych Amerykanów i części opinii publicznej.

Kolejna złamana umowa

Kongres USA złamał kolejną swoją obietnicę i umowę z Indianami. Przewidywała ona, zgodnie z ustawą nr 102-575 z 30

października 1992 roku, sprawiedliwe odszkodowanie za ziemię utraconą przez Indian z Dakoty Północnej w związku z budową zapór i zbiorników wodnych wzdłuż rzeki Missouri. Ustawa zakładała także zwrócenie indiańskim właścicielom „nadwyżek”, czyli tych części przejętych terenów, które nie zostały wykorzystane w związku z realizacją projektu. I tę właśnie część ustawy Kongres unieważnił 11 lutego 1994 roku, tłumacząc to zbyt wysokimi kosztami całej operacji. Zdaniem Indian z rezerwatu Trzech Zjednoczonych Plemion, złamanie obietnicy nastąpiło w wyniku nacisków władz stanowych oraz prywatnych właścicieli ziemskich z Dakoty Pn., którzy nie zamierzali zrezygnować z atrakcyjnych działek rekreacyjnych. Po indiańskich protestach prawnicy zastanawiają się, czy nie istnieje tańsza możliwość przekazania całej nadwyżki ziemi plemionom, zamiast poszczególnym Indianom.

Budżet Clintona łaskawy dla bezdomnych Indian

Amerykańscy Indianie mający problem z dachem nad głową odetchnęli z ulgą. Choć ogólnie wydatki na budownictwo mieszkaniowe w projekcie budżetu państwa na 1995 rok zostały zmniejszone, to na budownictwo mieszkaniowe Indian planuje się wydać 263 miliony dolarów, czyli tyle samo, co rok wcześniej. W ramach tej sumy zaplanowano mniejsze wydatki na budownictwo publiczne, większe natomiast – na wsparcie dla budownictwa prywatnego, projekty samopomocowe i pomoc dla bezdomnych. Optymalne – optymistyczne – szacunki zakładają, że suma ta pozwoli na wybudowanie w 2-milionowej tubylczej społeczności około 2700 mieszkań. W 1993 roku wybudowane zostały 2803 mieszkania, w 1994 roku zaplanowano budowę 2785 mieszkań, gdy tymczasem w roku 1980 – jeszcze przed ograniczeniami wprowadzonymi przez administrację Reagana i Busha – oddano 4893 mieszkania.

Biuro do Spraw Indian szuka oszczędności

Biuro do Spraw Indian (BIA), które działa w kraju za pośrednictwem oddziałów regionalnych i agencji, ogłosiło plany połączenia dwóch biur z Oklahomy – Muskogee i Andarko. Z protestem przeciwko tym planom zwrócił się w imieniu Indian z Oklahomy, Kansas i Teksasu senator David Boren. W liście do Ady Deer, wiceministra spraw wewnętrznych odpowiedzialnej za działalność BIA, podkreślił on, że to oszczędnościowe posunięcie wymagałoby w rzeczywistości wydania dodatkowych pieniędzy. Związane z nim zmniejszenie zatrudnienia w BIA o 88 osób odbiłoby się też niekorzystnie na działalności Biura i jego możliwości pomocy Indianom. Ada Deer oświadczyła w odpowiedzi, że plany zredukowania wydatków na administrację prezydenta Clintona wymagają także szukania oszczędności w Biurze do Spraw Indian, zaś rodzaj i czas tych posunięć są nadal w fazie dyskusji.

Na podstawie *Indian Country Today* z pierwszej połowy 1994 roku, przesłanych przez Jacka Piwońskiego z rezerwatu Blackfeet w Montanie, opracował Marek NowoCIEN.

Nowa Konfederacja Cree

W Opaskwayak, osiedlu Indian Cree w Manitobie odbyło się spotkanie ponad trzech tysięcy Cree z całej Ameryki Północnej, mające na celu odnowienie plemiennych więzi i handlu (Cree jeszcze przed przybyciem białych zasłynęli jako doskonali kupcy), a także utworzenie Konfederacji Cree wzorowanej na Irokezach. Głównym zadaniem Konfederacji Cree jest połączenie wysiłków w obronie tradycyjnych kultur, w negocjowaniu form tubylczego samorządu oraz praw do ziemi i zasobów naturalnych. Spotkanie Cree wychodzi na przeciw działaniom Ottawy do wypracowania modelu samorządu tubylców w całej Kanadzie.

The Montreal Gazette/MM
Nadesłał MC

Raczej samobójstwo niż wygnanie

Stu czterdziestu Indian Guaraní-Kaiowá z Jaguapiré w Brazylii zagrożiło popełnieniem zbiorowego samobójstwa gdyby zostali zmuszeni do opuszczenia swych prawnie zagwarantowanych terenów. Hodowcy bydła, którzy wtargnęli na ziemie Guaraní i zmusili mieszkańców do ich opuszczenia, oczekują na decyzję Sądu Stanowego, która spowodowałaby całkowite usunięcie Indian z tego obszaru. W maju br. przewodnicząca Stowarzyszenia Kaguatega na rzecz Wysiedlanych Indian, Marta Vítor Guaraní udała się do Stanów Zjednoczonych, aby poinformować społeczność międzynarodową o dramatycznej sytuacji swego narodu.

– Ile czasu musimy czekać, aby brazylijski wymiar sprawiedliwości potwierdził prawa do naszej ziemi? – to pytanie zadała Marta Vítor Guaraní podczas konferencji prasowej w San Francisco. Ponad jedenaście tysięcy Indian, włączając w to Guaraní-Kalowá, Nandera i M'bya, zostało zmuszonych do opuszczenia swych ziem w Mato Grosso Południowym w wyniku napływu hodowców bydła, popieranych przez lokalne władze. Terytoria indiańskie w tym stanie zmniejszyły się w ostatnim dziesięcioleciu o połowę i wynoszą obecnie 25 tysięcy hektarów.

– Hodowcy bydła zawsze zwyciężają w sądach – mówi Marta Vítor – gwałcąc jednocześnie prawa Indian do ziemi. My, Indianie jesteśmy bowiem jak rośliny, nie możemy żyć bez ziemi. Ponad siedem tysięcy Indian pracuje w kopalniach węgla i na plantacjach trzciny cukrowej, żyjąc w stanie niewolnictwa. Tak wygląda integracja, którą ofiarowuje nam biała społeczność. My jednak, właściciele tej ziemi, nie możemy zaakceptować tej upokarzającej i nieludzkiej sytuacji.

Wygnanie i samobójstwo

Jesteśmy najbardziej samotnymi i biednymi ludźmi w Brazylii. W swej rozpaczli Indianie, szczególnie młodzi, uciekają się do samobójstwa. Organizacje indiańskie twierdzą, że w ostatnich dziesięciu latach

około trzystu Indian popełniło samobójstwo, a według brazylijskiego rządu, w latach 1986-93 zanotowano sto jedenaście takich przypadków. Gmina indiańska Dorados, do której należy Marta, ma najwyższą liczbę samobójstw w kraju.

W 1992 roku, po wielu latach walki, Ministerstwo Sprawiedliwości Brazylii uznało w końcu ponad dwa tysiące hektarów terytorium Indian z Jaguapiré w stanie Mato Grosso Południowe za trwałą własność Guaraní-Kalowá. Mimo ponownego uznania terytorium Guaraní-Kaiowá, jednego z najgęściej zaludnionych przez Indian w Brazylii, zostali oni zmuszeni do życia na małych placetkach ziemi w najbardziej prymitywnych warunkach społecznych i ekonomicznych. Wielkie obszary dżungli i sawanny wykorzystywane swego czasu przez Guaraní jako tereny łowieckie, rybne i rolnicze, zostały podzielone i zredukowane do pastwisk bydła dotowanych przez władze stanowe. Własność ziemiska w stanie Mato Grosso Południowe jest najbardziej skoncentrowana: 70% powierzchni stanu należy do 1% ludności.

Dwóch hodowców bydła, którzy zagarnęli wielką część terytorium Guaraní zmusiło Indian, przez dwa lata ich terroryzując, do opuszczenia swych ziem. Wykarczowali ponadto duże obszary lasu i przekształcili je w pastwiska. Pod koniec ubiegłego roku, ci sami hodowcy złożyli na ręce sędziego

Jeana Marcosa Ferreiry formalny wniosek o usunięcie Indian. Wniosek ten został przez niego przyjęty. Centrum Praw Indiańskich (El Núcleo de Derechos Indígenas – NDI) – pozarządowa organizacja popierająca prawa narodów indiańskich Brazylii, FUNAI (rządowe biuro d/s Indian – przyp. tłum.) i Biuro Prokuratury Federalnej zaskarżyły decyzję sędziego Ferreiry. Sprawa trafiła więc do pierwszej instancji Federalnego Sądu Apelacyjnego w San Pablo i obecnie oczekuje się na decyzję, którą ma wydać sędzia Pedro Rotta.

Gdyby eksmisja doszła do skutku, stu czterdziestu Guaranów groziłoby popełnieniem zbiorowego samobójstwa. Wybrali tę drogę, aby przeciwstawić się ciągłemu najazdom na swe ziemie. Działalność gospodarza typu hodowla bydła, wyczerpała zasoby naturalne, od których zależy byt Indian. Zniszczenie ich sposobu życia doprowadziło do tego, że młodzi i starcy czują się tak poniżeni i zniechęceni, że są gotowi na najbardziej desperackie czyny.

Guaraní dzielą się na trzy grupy: Nandera, Kalowá i M'bya, zamieszkujące południowo-wschodnią część Brazylii, od stanu Espírito Santo aż po Rio Grande Południowe. Jednak większość z nich zamieszkuje stan Mato Grosso Południowe. Kolonizacja ziem Guaraní nasiliła się, ponieważ one położone na obszarze, na którym prowadził się rządowy projekt rozwoju Paranó-Paraguay.

Opór i represja

Stowarzyszenie Kaguatega działające w obronie wypędzonych, zjednoczyło wszystkie indiańskie wspólnoty tego stanu w celu żądania zwrotu zawłaszczonych ziem oraz zapobieżenia podobnym przypadkom w przyszłości. Z Mato Grosso Południowego zostało wypędzonych jedenaście tysięcy Indian, z czego dziewięć tysięcy to Guaraní. Marta Vítor Guaraní założyła to Stowarzyszenie po zamordowaniu swego wujka, Marcala Tupay de Sanza, znanego indiańskiego przywódcy i jednego z setek liderów zamordowanych za opór przeciwko najeźdźcom.

– W Brazylii – mówi Marta – mordowanie Indian nie wzbudza niczyjzego niepokoju, ani polityków, ani rządu, ani też cywilnej części społeczeństwa. Mimo że w przypadkach wielu morderstw prowadzone było śledztwo, żadna sprawa nie została wyjaśniona.

Od początku tego wieku Guaraní potrafili opierać się najazdom. W obecnej chwili jest to trudniejsze. – Guaraní szukają oparcia w religii. Obecnie jednak wiele kościołów protestanckich przybyło do naszych społeczności z takimi samymi zamiarami jak Jezuita w czasie „odkrycia” Brazylii. Zabijają naszą religię i kulturę. Bez posiadania tożsamości kulturowej, nasi ludzie zaczną się włóczyć po ulicach miast, pijąc, żebrząc i wystawiając się na posmiewisko białych.

Dwadzieścia jeden wspólnot Guaraní-Kalowá tworzących Zgromadzenie Antiguasu, do którego należy Stowarzyszenie Kaguatega, uczestniczyło pod koniec czerwca w formowaniu zgromadzenia reprezentującego wszystkie indiańskie narody z Mato Grosso. Celem tej organizacji byłoby bardziej efektywne działanie na rzecz praw do ziemi.

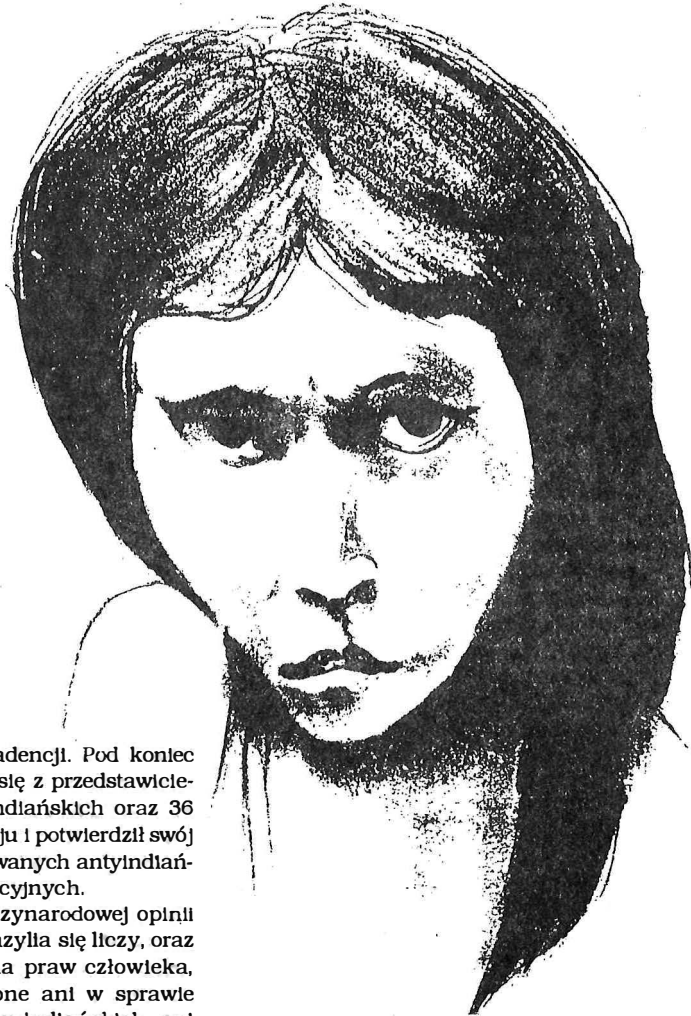
Znaki pozytywne

Ostatnio zdarzyła się rzecz bez precedensu. Sąd Najwyższy w San Pablo odrzucił decyzję Sądu Lokalnego, korzystną dla Kompanii Hodowców Bydła Sattin S.A., na mocy której Guaraní z Sete Cerros mieli być przesiedleni. Ponadto Sąd przychylił się do petycji wniesionej przez NDI wnioskującej wydanie sądzemu z Mato Grosso Południowego zakazu prowadzenia spraw dotyczących Guaraní. Wszystkie jego dotychczasowe wyroki były na korzyść hodowców bydła i spowodowały wysiedlenie tysięcy Indian.

Marta Vítor powiedziała, że Guaraní wzięli duże nadzieje z kandydatem na prezydenta, „Lulą”. Wierzy, że on przyniesie im sprawiedliwość i uznanie praw terytoriów indiańskich. Ostatnie ankiety wskazują, że Luis Ignacio „Lula” da Silva ma największe szanse na objęcie stanowiska szefa

TO JEST NASZA WALKA

Wywiad z Mauricią Castro



rządu w najbliższej kadencji. Pod koniec kwietnia Lula spotkał się z przedstawicielami 24 organizacji indiańskich oraz 36 Indianami z całego kraju i potwierdził swój sprzeciw dla przewidywanych antyindiańskich reform konstytucyjnych.

Mimo nacisku międzynarodowej opinii publicznej, z którą Brazylia się liczy, oraz potępieniem gwałcenia praw człowieka, nic nie zostało zrobione ani w sprawie wyznaczenia terytoriów indiańskich, ani w sprawie zapobiegnięcia nieustannemu wzrostowi liczby samobójstw. Między 5 października 1993 roku a majem 1994 powinny być zostać określone terytoria indiańskie, ale do tej pory nic w tej sprawie nie zrobiono. Według źródeł oficjalnych, w 1993 roku czterech Guarani popełniło samobójstwo, zaś w tym roku zdarzyły się już dwa takie przypadki.

W liście wysłanym ostatnio do FUNAI, przywódcy indiańscy napisali: *zdecydowani jesteśmy raczej umrzeć niż opuścić*

Jaguapré. Jest więc możliwe, że jeśli natchmłast nie zostaną podjęte jakieś działania, ta potencjalna groźba stanie się smutną rzeczywistością.

Tłumaczenie Roman Bala

Tekst ten został napisany na podstawie informacji uzyskanych od Rain Forest Action Network i Marty Vitor Guarani. Zamieszczono go pierwotnie w biuletynie Centrum Informacyjnego Ameryki Południowej SAIC (*Noticias de Abya Yala*) Vol. 8. No. 1-2. lipiec-wrzesień 1994.

W 1991 roku Vicente Matute, były przewodniczący FETRIXI (Federacji Plemion Xicaque z Yoro w Hondurasie) i inni członkowie Komisji Koordynacyjnej zostali napadnięci i skrytobójczo zamordowani. Mauricia Castro (Xicaque), ówczesny sekretarz FETRIXI, objęła fotel przewodniczącego i stanowisko to pełni do teraz. Jest zamężna i ma trójkę dzieci.

Mauricia Castro: Nazywam się Mauricia Castro i pochodzę z departamentu Yoro w Hondurasie. Należę do ludu Xicaque lub Tolupan, osiadłego na północy kraju.

SAIC: *Bardzo mało się mówi o tubylczych ludach Hondurasu. Jaka jest ich liczebność i do jakich grup należą?*

W Hondurasie mamy sześć grup, siódmą są Chorús, którzy się jeszcze nie zorganizowali. W skład tych sześciu grup, zróżnicowanych językowo i kulturowo, wchodzi łącznie prawie pół miliona tubylców. Są to: Lenca, którzy liczą osiemdziesiąt tysięcy, Peichen (około dwóch tysięcy), Garífuna (trzysta tysięcy), Miskito (czterdzieści tysięcy) i Xicaque, którzy liczą około trzydziestu dwóch tysięcy. Lenca zamieszkuje departamenty Lempiira, La Paz i Intibucan. Peichen i Miskito żyją w Pahuacas, Sumos, Graclas a Dios i Colon.

Czy te tubylcze narody zachowują nadal swe języki i tradycje?

My Xicaque stoimy na krawędzi utraty języka. Dlatego tak ciężko pracujemy nad jego umocnieniem i rozprzestrzenieniem.

Jaką macie edukację w szkołach?

To najpoważniejszy problem Xicaque. Większość szkół prowadzona jest przez Ladinów (metysów) i dzieciom zabrania się mówienia ojczystymi językami. Mielłszy taki przypadek, kiedy pierwszoklasista zapomniał przywitać nauczycielkę po hiszpańsku, a zamiast tego pozdrowił ją w języku Tolupan. Nauczycielka powiedziała,

że go nie rozumie i że nie może być dłużej w szkole. Dziecko zostało zmuszone do wyjścia z klasy. W miejscach publicznych nie używa się tubylczych języków, tylko w domu.

Czy jest rasizm?

W Yoro tak, ogromny. Nasz lud pracuje obecnie nad rozwojem świadomości naszej tożsamości, ale – na przykład – noszenie tradycyjnego ubrania służy tylko zastraszeniu ludzi i wywołuje widowisko.

Jak wygląda sytuacja z ziemią w Hondurasie? Czy macie jej dosyć? Czy wasze osiedle są honorowane i akceptowane?

Sytuacja jest krytyczna. Rząd wydał ustawę zwaną „modernizacją sektora rolniczego”, która umożliwiła wielkim obszarnikom przywłaszczanie sobie kolejnych połaci ziemi. Ustawa ta zamienia ziemię w produkt handlowy, który można sprzedać zagranicznym i ponadnarodowym korporacjom. Specyficzny problem Xicaque polega na tym, że choć tytuł własności do ziemi dano nam w 1861 roku, ludzie nadal przywłaszczają sobie naszą ziemię zgodnie z ustawą o „modernizacji rolnictwa”.

Czy rząd wydał jakieś ustawy, które respektują tubylcze wspólnoty?

Nic konkretnego. Jest tylko jeden zapis w konstytucji odnoszący się do ludów tubylczych. Nie ma takiej ustawy, na której moglibyśmy opierać lokalne prawo dawstwo. Zorganizowane narody ludów tubylczych wystosowały propozycję usta-

wodawczą, którą nazwaliśmy „Ochronne Prawo dla Narodów Tubylczych”. Dokonałiśmy tego z pomocą paru prawników i z poparciem naszych ludów. Ustawa ta leży w Kongresie już ponad cztery lata. Jeden rząd zastępuje drugi, ale żaden nie popchnął sprawy do przodu. Podejmujemy także starania zmierzające do ratyfikacji 169 paktu Międzynarodowej Organizacji Pracy (ILO), ale jest nas zaledwie garstka. Ponadto urzędnicy państwowi są bardzo sprytni. Niektórzy przychodzą do tubylczych wspólnot i jeśli natrafiają na jakiś problem, mówią że go rozwiążą, po czym znikają i już więcej się nie pokazują.

Czy ludy honduraskie mają tradycje rolnicze?

My Xicaque uprawiamy kukurydzę i fasolę, paramy się też trochę ryżem, np. koszyki, maty, garnki. Lenka tkają wętnę i także uprawiają kukurydzę i fasolę. Miskito poświęcili się zbieraniu orzechów kokosowych i pomarańcz, a także uprawie ryżu. W departamencie Amuskiti, który jest bardzo baglenny, ludzie łowią ryby. Mają niewielkie działki, wysepki pośrodku jezior. To nadzwyczajne miejsce. Rzeki Patuca, Platano i Coco są bardzo rozległe i żeglowne. W ubiegłym roku prezydent próbował wydać koncesję na eksploatację dżungli Amasquitia, dziewiczej dżungli. Uważam, że w Środkowej Ameryce jest to najbogatszy i najobfitszy las tropikalny.

Czy próbowaliście eksploatować te bogactwa?

Rząd próbuje. Jest taka ustawa o Korporacji Honduraskiej i Rozwoju Lasów mówiąca, że lasy należą do państwa, niezależnie od faktu, że grunty te mogą być własnością prywatną. Zatem rząd ma obecnie wyłączność w sprzedaży lasów naszych wspólnot. Spotyka się to jednak z dużym oporem. W niektórych przypadkach tubylcy powiedzieli, że rząd ma takie uprawnienia skoro ci ludzie tam weszli, a później odkryli że ich maszyny zostały spalone. Wydarzenie to uruchomiło kampanię zorganizowaną przez tubylców Hondurasu i ludzi ze środowisk ludowych, syndykatów, rolników i organizacji, gdyż jest to zamach przeciwko ludzkości.

Czy utrzymujecie jakąś więź ze środowiskiem rolniczym?

Było parę konfliktów z rolnikami, którzy siłą wtargnęli na naszą ziemię. Związek Pracowników Rolnictwa (UTC) chciał wejść do Yoro i doszło do poważnej konfrontacji. My wiemy, że nie była to sprawa samych rolników, ale raczej co niektórzy przywódców i hodowców bydła. Choć spędziliśmy parę dni w więzieniu, zyskaliśmy szacunek dla autonomii ludów tubylczych. Obecnie nawet plantatorzy kawy muszą konsultować się z nami zanim zmechanizują swe plantacje.

Czy macie tradycyjne formy organizowania się? Czy trudno było utworzyć federację opartą na modelu zachodnim?

Istnieją Rady Plemienne, ale nie są one zjednoczone. Dzięki jednak Kościołowi katolickiemu, dzięki misjom i niektórym obszarnikom, którzy chcieli „zaprzyjaźnić” się z tubylcami, aby odzyskać ziemię leżącą odłogiem, zaczęliśmy się wzajemnie poznawać. W latach 1970-77 prowadzono wymianę międzyplemienną, mającą na celu podzielenie się doświadczeniami i zaznajomienie się. W 1977 roku powołano federację, ale w nieco upiornym stylu. Co roku planowaliśmy spotkanie, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie. W latach 1981-83 zaczęliśmy organizować narady, a w 1985 roku odbył się Pierwszy Kongres Zwyczajny, w którym wzięły udział wszystkie plemiona z departamentów Yoro, El Negrillo, Olanchito, Mozaran i innych. Wybrano Kongres Plemienny i zatwierdzono statut. Sporo czasu dyskutowano na temat nazwy federacji, gdyż wielu twierdziło, że jesteśmy Tolupan, a nie Xicaque; nazwę tę dali nam Hiszpanie ponieważ nie łatwo było nas ujarzmić, zatem postanowiliśmy zachować to imię, Xicaque – „wieczni buntownicy”.

Jak więc brzmi nazwa federacji, do której należysz?

Federacja Plemion Xicaque z Yoro (w Hondurasie), FETRIXI.

Czy należycie do jakiejś konfederacji?

Na to przyjdzie czas po FETRIXI. Zaczęliśmy sobie uświadamiać, że z jednej strony są Miskito, a z drugiej Lenka i inni, więc z pomocą studentów i antropologów, którzy nas ciągle badają, podjęliśmy decyzję o zwołaniu Pierwszego Zgromadzenia Tubylczych Ludów Hondurasu w 1987, w rok

po utworzeniu FETRIXI. W 1988 mieliśmy Drugie Spotkanie, na którym powołano do życia tymczasowy komitet konfederacji i uświadomiliśmy sobie, że istnieją też inne zorganizowane grupy. Trzecie Spotkanie odbyło się w Yoro, a Czwarte w Tegucigalpa, podczas którego został zamordowany nasz przywódca, Vicente Matute. W latach 1986-92 utworzyliśmy Konfederację Autochtonickich Ludów Hondurasu (CONPA).

Co doprowadziło do zamordowania Vicente Matute i tych wszystkich represji? Wiemy, że zginęło wielu tubylczych przywódców. Kim są agresorzy?

[Agresorami są] obszarnicy i hodowcy bydła z Yoro. Dopiero teraz dowiedzieliśmy się, że to wojsko zabiło Vicente. Całe plemię znajduje się pod nadzorem Sił Zbrojnych Hondurasu. Vicente był bardzo łagodnym i spokojnym człowiekiem, a podczas spotkania z prezydentem Calleją – mamy riagraną kasetę wideo – powiedział, że nie będzie zdziwiony, jeśli tubylcy pójdą nazbierać drewna na opał, zostaną zatrzymani i odesłani. Widocznie zabil go za mówienie takich rzeczy.

Czy inni przywódcy również zostali zamordowani?

W 1991 roku, kiedy zabil Vicente, powiedzieli, że mają zamiar zabić pięciu z nas, i tak się stało. Powiedzieli, że będą to ludzie z zarządu. Byłam sekretarką, a oni powiedzieli, że będziemy martwi. Tych pięciu jednak, dwie kobiety i trzech mężczyzn, należało do różnych rad plemiennych.

Czy to zastraszanie trwa nadal?

Kiedyś dostałam telefon, że Mauricia Rivera de Zubirana płaci komuś za zabicie mnie i dwóch innych przywódców plemienia. Zresztą nie wiem... któż to wie? Nie mamy żadnej ochrony. Uwierzyłabym, że policja mnie chroni, ale to jest tak, jakby mnie śledził. Policja zawsze jest taka. Federacja otrzymała wiele dyplomów uznania, ale widziacie, to wszystko jest polityka. Deputowanym z Yoro jest człowiek, który eksploatuje plemię Plangrande. Jest obszarnikiem i jak mielibyśmy złożyć skargę, skoro on sam nas uciska? Są takie strefy

tubylcze, gdzie żyje ponad dwieście nietubylczych rodzin, które chcą zamienić w miasto. Są tam szkoły, elektryczność, drogi i chociaż my mamy tytuł własności, tubylcze ludy żyją właściwie na krawędzi przepaści. Opieraliśmy się trzem reżimom ponieważ to my jesteśmy prawowitymi właścicielami.

Jaka jest sytuacja kobiet w odniesieniu do tych organizacji?

FETRIXI jest jedyną organizacją, która ma trzy kobiety w zarządzie, pięciu mężczyzn i trzy kobiety. Uważamy, że w następnej kadencji będą cztery. Kobiety uczestniczą w podejmowaniu decyzji, bez względu na to, czy mężczyznom się to podoba, czy nie. Jeśli widzę, że jakaś sprawa ma większość głosów, przystaję na to. Od 1987 roku kobiety zostawiają domy i przychodzą na zebrania. Większy problem jest wtedy, gdy kobiety zostają w domu, bo jak mogą wziąć coś pod uwagę, skoro nie uczestniczą w rozmowach? Nikt nie pójdzie im do domu powiedzieć, że „nazwaliśmy cię Cacique”. W innych wspólnotach, kobiety nie uczestniczą w pracach organizacji. W FETRIXI są kobiety, które mają sekretarza mężczyznę i to one mówią mu, co ma robić. Nie chcemy jednak tworzyć równorzędnych organizacji kobiecych, ponieważ uważamy, zgodnie ze zwyczajem Xicaque, że kobiety bez mężczyzn nie mogą zrobić, podobnie zresztą jak mężczyźni bez kobiet. Chociaż nadal istnieje *machismo*, operujemy się mówiąc: nie idź przede mną, ani też za mną; chodźmy razem”.

A co z waszym życiem duchowym? Czy wpływ katolicyzmu jest duży?

Wpływ jest ogromny; z naszej duchowości pozostało niewiele. Ewangelicci sami przychodzą do naszych wspólnot i usyplają je. Nie lubią ludzi chodzących na zebrania. Powiadają, że to grzech popieranie rozwoju wspólnoty, że bogaci są w niebie, i że biedni są błogosławieni. Wkładają to wszystko do głów naszym ludziom, którzy potem mówią: „No dobra, Bóg chce abym tak żył”. Ja nie chodzę do kościoła. Księża przyszedł do mnie i pytał, czemu nie ochrzc-

ciłam swoich dzieci. Powiedziałam im, że nie chcę wtrącać się w ich życie duchowe. Ja tego nie chcę, a moje dzieci nie tęsknią za tym.

Jakie masz nadzieje związane z Kontynentalnym Ruchem Tubylczym, z którym nawiązałaś kontakt? Czy uważasz, że powinniście zjednoczyć się z wszystkimi tubylczymi ludami Ameryki?

Podstawowym zadaniem CONPA jest połączenie sił, szukanie przeszłości odziedziczonej po przodkach i porozumiewanie się z wszystkimi tubylczymi ludami Ameryki. Wiemy, że nie jesteśmy wszyscy tacy sami, ale wiemy, czego chcemy na płaszczyźnie kontynentalnej.

Chcesz jeszcze coś dodać na koniec?

Chciałabym abyśmy się przygotowały, żeby nasze prawa kobiet były przestrzegane, żeby dano nam przestrzeń, której przez tak długi czas nam odmawiano. Nie oznacza to, że chcemy to zabrać mężczyznom, chcemy jedynie, aby dano nam równe szanse. Zatem pozdrowienia do wszystkich tubylczych kobiet na całym kontynencie, nie ustawajcie w drodze, bo to jest nasza walka.

Tłumaczenie Marek Maciołek

Na podstawie biuletynu Centrum Informacyjnego Ameryki Południowej SAIIC (*Abya Yala News*) Vol. 7, No. 3-4, Jeseń-zima 1993.



Alicia Korten

KOREK W DARIÉN

Ostatni odcinek Szosy Panamerykańskiej

– Nie chcemy, aby Szosa Panamerykańska przecinała nasze ziemie – powiedział Leopoldo Baporiso, wódz ponad trzynastu tysięcy Indian Emberá-Wounaan, zamieszkujących prowincję Darién we wschodniej Panamie. – *Panamericana* spowoduje masowe wycinanie lasów, niekontrolowany napływ osadników, wzrost przemytu narkotyków, wykup ziemi, imigrację Kolumbijczyków i Innej ludności Ameryki Południowej, marginalizację tubylczych narodów: Indian i Afroamerykanów.

W październiku 1993 roku rządy Panamy i Kolumbii podpisały porozumienie na ukończenie budowy odcinka *Panamericana*, zwanego Korkiem w Darién (*Tapón del Darién*). Gdyby te brakujące 107 km zostało dobudowane, Szosa ciągnęłaby się bez przerwy od Alaski aż do południowej części Argentyny.

Obszar Korka jest najbardziej różnorodnym biologicznie obszarem naszej planety i ważnym korytarzem między ekosystemami Ameryki Północnej i Południowej. Zamieszkuje go około 43 tysięcy ludzi, włączając w to pięć różnych grup indiańskich, społeczności murzyńskiej i metysów.

W 1975 roku dzięki decyzji Trybunału Dystryktu Kolumbii, budowa odcinka przypadającego na Kork w Darién została zawieszona. W 1981 roku UNESCO ustanowiło na tym terenie Narodowy Park Darién, największy w Ameryce Środkowej. W 1983 roku obszar ten został ogłoszony Dziedzictwem Ludzkości i Rezerwatem Biosfery. Wszystkie brane pod uwagę przez zainteresowane rządy szlaki – czyli, jeden wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, drugi wzdłuż wybrzeża Atlantyku i trzeci biegnący przez Przesmyk Panamski, ocierający się o gminę Palo de

Letras, przechodzą przez ziemie Indian Kuna, Emberá i Wounaan. Szlak Palo de Letras, najkrótszy i najbardziej ekonomiczny, przecina gminy Pacuro, Paya, Cupé i Aruza, a także parki narodowe Darién i Katlos w Kolumbii, których przepisy zezwalają na budowę.

Mimo opozycji społeczności indiańskich, procesy ekonomiczne domagają się ukończenia Szosy. Rządy krajów Ameryki Południowej kładą nacisk na potrzebę lądowego połączenia kontynentu, aby w ten sposób ułatwić sobie dostęp do rynków północnoamerykańskich. Kolumbia, Meksyk i Wenezuela są w tym momencie krajami najbardziej zainteresowanymi sfinalizowaniem budowy w związku z wejściem w życie Układu o Północnoamerykańskiej Strefie Wolnego Handlu (NAFTA). Największą presję wywiera rząd kolumbijski, ponieważ *Panamericana* przekształciłaby się w część infrastruktury tzw. Planu Otwarcia na Pacyfik – wielomilionowego planu pretendującego do wykorzystania strategicznej pozycji kolumbijskiego Wybrzeża Pacyfiku jako platformy umożliwiającej wprowadzenie potężnych rynków do Niecki Pacyfiku.

Rządy Panamy i Kolumbii przyspieszyły zawieranie serii umów koordynowanych przez Panamsko-Kolumbijską Komisję Dobrego Sąsiedztwa, mającą na celu ochronę tego obszaru przed protestami opozycji. Choć środki finansowe na budowę Szosy nie są jeszcze zagwarantowane, Komisja Panamsko-Kolumbijska nawiązała kontakty m.in. z Bankiem Światowym, Międzyamerykańskim Bankiem Rozwoju (BID) oraz rządem japońskim. BID ma sfinansować badania, a rząd kolumbijski przeznaczy 1,5 mln dolarów na renowację niekompletnego odcinka Szosy Medellín-Turbo, który stanie się częścią *Panamericana*. Rządy północnoamerykańskie nie włożą kapitału, ale będą wspomagać projekt udziałem technicznym.

W grudniu 1993 roku około pięćset delegatów różnych wspólnot Emberá-Wounaan z Choco, Cemaquí i Panamy wystoso-

wało rezolucję odrzucającą budowę drogi przez terytoria indiańskie w Panamie oraz zaproponowało utworzenie Komisji Tubylczej do Spraw Szosy Panamerykańskiej. Komisja utworzona przez sześć najważniejszych organizacji indiańskich tego obszaru (Kongresy Generalne Kuna, Majé, Warqandí, Muduqandí oraz społeczności Kuna z Pucurú i Paya) koordynowana przez Kongres Generalny Emberá-Wounaan zebrała się w marcu 1994 roku w gminie Común, w Darién aby ustalić plan akcji, która przyczyniłaby się do ochrony praw mieszkańców tego obszaru oraz wywarłaby nacisk na rząd, aby społeczności indiańskie i murzyńskie mogły uczestniczyć w podejmowaniu decyzji na temat planów rozwoju, dotyczących ich terytoriów.

Sytuacja zaostrza się, ponieważ panuje opinia, że legalne środki, na które liczyli Indianie w Panamie są absolutnie niewystarczające. W ciągu ostatnich dwóch lat Emberá-Wounaan pracowali nad projektem zmiany Konstytucji. Opracowany dokument został doręczony rządowi rok temu, ale jak dotąd, nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

W tej sytuacji mobilizacja organizacji i społeczności indiańskich oraz nacisk opinii międzynarodowej w celu osiągnięcia prawa do udziału w pracach nad projektem są jedyną alternatywą dla ochrony tego ważnego ekosystemu.

Tłumaczenie Roman Bala

Na podstawie biuletynu Centrum Informacyjnego Ameryki Południowej SAIIC (*Noctelas de Abya Yala*) Vol. 8, No. 1-2, lipiec-wrzesień 1994.

Dodatkowe informacje na ten temat można uzyskać pod adresem:

Comisión Indígena Carretera Panamericana
Centro de Asistencia Legal Popular (CEALP)
Apartado Postal 6-5866 El Dorado
Panama

CZARNY ŁOŚ

Opowieść indiańskiego szamana

Czarny Łoś to opowieść o wizji, o doświadczeniu duchowych wartości, przed jakimi staje człowiek przy wyborze swej drogi życia. Choć z łatwością możemy w książce oddzielić historię od alegorii, to jednak Czarny Łoś, jak każdy człowiek podążający drogą duchowego rozwoju, żyje na ich przecięciu. Dla niego

czas historii nakłada się na czas wypełniania duchowych powinności. Wejście Siuksów na symboliczną czarną drogę z wizji, drogę wojen i nieszczęść, starzec uważał za osobistą tragedię, żył w poczuciu osobistej odpowiedzialności za zbliżającą się katastrofę, której zapobiec nie umiał; nie wytrzymał ciśnienia

historii; widzi, że stary świat Siuksów dobiega końca. Rozbita została wspólnota, Krąg Narodu uległ rozproszeniu, Święte Drzewo obumarło. Nigdy jednak Czarny Łoś nie porzucił nadziei na spełnienie wizji. Wydarzenie na szczycie Harneya, kiedy oto w środku pogodnego dnia zaczęła padać mżawka, przekonało go, że zachował jeszcze trochę mocy, że jest tylko narzędziem duchowej siły, której nie można się sprzeciwić. Taki uniwersalizm posłania Czarnego Łośa stawia je – zdaniem krytyków – obok nauk św. Franciszka, Thoreau czy Gandhiego.

Poniżej drukujemy fragment drugiego rozdziału książki **CZARNY ŁOŚ – Opowieść indiańskiego szamana**, jaka ukazała się niedawno nakładem poznańskiego wydawnictwa ZYSK i S-ka.

MAREK MACIOŁEK

Wczesne dzieciństwo

Jestem Lakotą z grupy Oglala. Ojciec miał na imię Czarny Łoś, jego ojciec też się tak nazywał, a także ojciec jego ojca, tak więc jestem czwartym z kolei, który nosi to imię. Ojciec był lekarzem, podobnie jak kilku jego braci. Ojciec wielkiego Szalonego Konia był jego kuzynem i młeli tego samego dziadka. Matka miała na imię Biała Bizonica Patrzy. Jej ojciec nazywał się Nie Chce Iść, matka zaś – Wiele Orlich Piór. Pamiętam matkę mej matki i jej ojca. Ojciec mego ojca został zabity przez Paunisów, kiedy byłem jeszcze zbyt mały, żeby to wiedzieć, zaś jego matka, Kobieta Czerwony Orzeł, zmarła krótko potem.

Urodziłem się w Miesiącu Pękających Drzew (grudzień) nad małą rzeką Prochową (Little Powder), w Ziemi Kiedy Zabito Cztery Wrony (1863). Miałem trzy lata, kiedy ojciec złamał prawą nogę w Bitwie Stu Zabitych. Z powodu tej kontuzji kużykał aż do śmierci, która nastąpiła mniej więcej wtedy, gdy grupa Wielkiej Stopy została zmasakrowana nad strumieniem Zranionego Kolana (Wounded Knee – 1890). Ojca pochowano na tych wzgórzach.

Pamiętam Zimę Stu Zabitych niczym zły sen z dzieciństwa, ale nie potrafię powiedzieć, ile usłyszałem będąc już starszy, ile zrozumiałem będąc dzieckiem. Jawi mi się ona jak coś przerażającego we mgle, gdyż był to czas, kiedy wszystko budziło niepokój i strach.

Dotąd nie widziałem jeszcze waszliczu [białych] i nie wiedziałem, jak wyglądają, ale każdy mówił, że nadchodzą waszliczu i chcą zabrać nasz kraj, a nas samych z niego usunąć. Mieliśmy więc wszyscy zginać w walce. Ci, którzy padli w tej bitwie, to byli właśnie waszliczu i ludzie długi o nich mówili, ale setka waszliczu to było mało, skoro tam, skąd przyszli, jest ich niezliczenie wielu.

Pamiętam, że raz spytałem o to dziadka.

– Kiedy zwładowcy wracają z prerił pełnej bizonów – powiedziałem – ludzie mó-

wią, że nadchodzą waszliczu. Kiedy dziwni mężczyźni przychodzą nas zabijać, ludzie mówią, że nadchodzą waszliczu. Co to znaczy?

A on odpowiedział:

– To znaczy, że jest ich wielu.

Kiedy byłem starszy, dowiedziałem się więcej o tej bitwie w ziemi, a także o następnej w lecie. Przy Madison Fork waszliczu znaleźli dużo złotego metalu, który uwielbiają, i który wprawia ich w opętanie. Chcieli więc poprowadzić przez nasz kraj drogę do miejsca, gdzie był złoty metal, ale moi ludzie nie chcieli tej drogi, bo odstraszyłaby bizona. Spowodowałaby także, że inni waszliczu napłynęliby naszym powódź. Powiedział nam, że chcą używać tylko tyle ziemi, ile zajmie wóz między kołami, ale nasi ludzie wiedzieli lepiej. Kiedy rozejrzysz się dokoła, zobaczysz, czego tamci chcieli.

Niegdyś żyliśmy szczęśliwie w naszym własnym kraju i rzadko bywaliśmy głodni, ponieważ dwunożni i czworonożni żyli ze sobą jak krewni. Wszystkiego starczało i dla nas, i dla nich. Ale przyszli waszliczu i wydzielili nam i czworonożnym wysepki, które zmniejszają się ciągle, gdyż wokół nich kłębią się wysokie fale powodzi waszliczu, brudne od kłamstw i chciwości.

Dawno temu ojciec powiedział mi coś, co usłyszał od swego ojca: wśród Lakotów żył raz święty człowiek zwany PiJe Wodę. Ujrzał on we śnie przyszłość. Było to na długo przed przyjściem waszliczu. Wyśnił, że czworonożne istoty wrócą do ziemi, a ludzie dziwnej rasy utkają pajęczą sieć wokół Lakotów. „Kiedy się to stanie – powiedział – będziecie mieszkać w kwadratowych szarych domach, na ogrodzonej ziemi, i będziecie w nich głodować”. Ludzie mówią, że ów człowiek wrócił do Matki Ziemi krótko po ujrzeniu tej wizji. Zabił go jej smutek. Rozejrzyj się dokoła i zobacz, że miał na myśli właśnie te domy o brudnych dachach, w jakich mieszkamy. Re-

sza jego względy też się sprawdziła. Czasami są mądrzejsze niż rzeczywistość.

Kiedy więc przyszedli żołnierze i postawili sobie miasto z przodu przy Sosnowych Widłach (Piney Fork) nad rzeką Prochową (Powder), moi ludzie wiedzieli już, że jednak mają zamiar poprowadzić tę drogę i zabrać nasz kraj, a może nawet zabić nas wszystkich, gdy tylko zbiorą odpowiednie siły. Szalony Koń miał wtedy zaledwie dziesięć lat, a naszym wielkim wodzem był jeszcze Czerwona Chmura. W miesiącu Zmieniających się Pór Roku (październik) zwołał on wszystkie rozproszone grupy Lakotów na wielką naradę nad rzeką Prochową. Kiedy ruszyliśmy na wojnę przeciwko żołnierzom, nasz obóz rozciągający się w dolinie był tak ogromny, że jeździec mógł jechać przezeń od świtu, aż do chwili, gdy słońce znalazło się prosto nad jego głową: wielu naszych przyjaciół Szejenów i Błękitnych Chmur przybyło nam z pomocą.

Tych stu zostało zabitych mniej więcej wtedy, gdy nadgryziony księżyc zatrzymał się (ostatnia kwadra) w Czasie Pękających Drzew. Mój przyjaciel Ognisty Grzmot, siedzący tutaj, jest starszy ode mnie i brał udział w tej bitwie, może ci więc opowiedzieć jak było.

Mówi Ognisty Grzmot:

Miałem szesnaście lat, kiedy się to wydarzyło i po wielkiej naradzie nad rzeką Prochową przenieśliśmy się nad rzekę Język (Tongue) i rozbiliśmy obóz przy ujściu strumienia Peno. Było nas wielu. Czerwona Chmura stał na czele wszystkich, ale wodzem naszej grupy był Wielka Droga. Ruszyliśmy konno tuż przed wschodem słońca, kierując się w górę strumienia do Miasta Żołnierzy przy Sosnowych Widłach, mieliśmy bowiem zamiar ich zaatakować. Słońce było w połowie swej drogi, kiedy zatrzymaliśmy się w miejscu, w którym droga waszczyca obniżala się ku stromej krawędzi strumienia i go przecinała.

Było to dobre miejsce do walki. Wysłaliśmy więc paru naszych ludzi, żeby zwaбили żołnierzy. Kiedy pojechali, my podzieliliśmy

się na dwie grupy i ukryliśmy w zagłębieniach po obu stronach strumienia, a potem już tylko czekaliśmy. Po długim czasie usłyszeliśmy strzelaninę na wzgórzu. Wiadomo było, że nadchodzą żołnierze. Trzymaliśmy więc chrapy naszymi koniom, żeby nie mogły rzeć do koni żołnierzy. Wkrótce zobaczyliśmy, że nasi ludzie wracają. Paru z nich biegle ciągnąc za sobą konie, aby żołnierze pomyśleli, że są wycieńczone. Potem ludzie, których wysłaliśmy przemknęli drogą między nami a strzelającymi żołnierzami na koniach. Gdy zjechali na równinę u stóp wzgórza, zaczęła się walka. Miałem gniadego konia i chciałem właśnie na niego wskoczyć, kiedy żołnierze zawrócili i walcząc usłowali przedrzeć się z powrotem na wzgórze. Miałem sześciostrzzałowca, którego kupiłem u handlarza, a także łuk i strzały. Kiedy żołnierze zawrócili, jedną ręką trzymałem gniadego, a drugą zacząłem zabijać ich z sześciostrzzałowca, gdyż byli już dość blisko. Padło wiele kul, ale strzał było więcej; tyle, że wyglądało to jakby chmura pasikoników spowiła żołnierzy, zaś nasi ludzie strzelali, często wzajemnie się trafiłając. Żołnierze padali cały czas, próbując przebić się na wzgórze. Ich konie rozbiegły się i wielu naszych pognało za nimi, ale ja nie poszedłem tam po konie, lecz po waszczyca. Kiedy żołnierzom udało się dotrzeć na szczyt, zostało ich już tylko paru i nie mieli się gdzie ukryć, dzielnie walczyli. Kazano nam się podczołgać do nich i tak też zrobiliśmy. Kiedy byliśmy już blisko, ktoś krzyknął: „Idziemy! To dobry dzień do umierania. Pomyślcie o tych bezbronnych w domu!” Wtedy wszyscy zawołaliśmy: *Hoka hej!* i rzuciliśmy się na nich. Byłem wtenczas młody i szybki. Jako jeden z pierwszych wpadłem między żołnierzy, którzy powstałi i walczyli bardzo dzielnie, aż żaden z nich nie został przy życiu. Mieli ze sobą psa, który ujadając popędził do Miasta Żołnierzy. Nie strzeliłem do niego, bo wyglądał zbyt słodko, ale strzelili i pies padł najeżony strzałami. Tak więc nikt nie uszedł z życiem. Polegli ludzie i konie, a także ranni Indianie leżeli porzuceni wzdłuż drogi na wzgórzu. Ich krew zamarzała, bo nadeszła zima i było bardzo zimno. Cały czas robili

się coraz zimniej. Zostawiliśmy więc wszystkich poległych, gdyż ziemia była już skamieniała, pozbiieraliśmy tylko naszych rannych i ruszyliśmy z powrotem, ale nim doścignęliśmy do obozu przy ujściu strumienia Peno większość z nich umarła. Tej nocy była wielka zawierucha. Paru naszych rannych, którzy nie zmarli po drodze, skończyło po dojechaniu do domu. Działo się to wtedy, gdy ojciec Czarnego Łosia złamał nogę.

Mówi Czarny Łoś:

(...) Kiedy przyszło lato, obozowaliśmy nad rzeką Pączek Róży (Rosebud). Nie bałem się już tak bardzo, bo waszczyca byli chyba daleko, a w dolinie panował spokój i mieliśmy dużo mięsa. Za to wszyscy chłopcy w wieku pięciu-sześciu lat bawili się w wojnę. Maluchy z różnych grup plemienia zbierały się razem i walczyły kulami błota, które miotwały procami z wierzbowych gałęzi. Starsi chłopcy bawili się natomiast w grę zwaną „zrzucaniem z koni”. Jest to prawie walka, tyle że bez zabijania. Czasami niektórzy jednak odnosili rany. Jeźdźcy z różnych grup sześcioręgu i krzyżąc nacierali jedni na drugich. Rozpędzone kucyki wpadały na siebie, stawały dęba, potykały się i parskały w wielkiej kurzawie, zaś jeźdźcy chwytały się nawzajem usiłując zrzucić przeciwnika. Gra kończyła się, kiedy jedna strona straciła wszystkich ludzi, gdyż ci, którzy spadli na ziemię, zaliczani byli do zabitych.

Kiedy byłem starszy, też się w to bawiłem. (...) Tego lata byłem jednak jeszcze za młody do zabawy w wojnę, ale pamiętam, że obserwowałem innych chłopców i myślałem sobie, że kiedy dorosnę i będziem silni, to może zabijemy wszystkich waszczyca, albo przepędzimy ich daleko z naszego kraju. (...)

Miałem wtedy cztery lata i chyba następnego roku, latem, po raz pierwszy usłyszałem głosy. Było to szczęśliwe lato, nic nie wzbudzało niepokoju, ponieważ w Miesiącu Kiedy Konie Zmieniają Sierść (maj) dotarli do nas wieści od waszczyca, że zaplanuje pokój i że nie będą już więcej uży-

wać tej drogi, a wszyscy żołnierze odejdą. Istotnie, żołnierze odeszli, a ich miasta zostały spalone. W Miesiącu Spadających Liści (listopad) żołnierze podpisali z Czerwoną Chmurą traktat głoszący, że nasz kraj będzie należał do nas dopóki trawa rośnie, dopóki rzeki płyną. Spójrz, to nie trawa i woda zapomnieli.

Może nie było to tego lata, kiedy pierwszy raz usłyszałem głosy, ale myślę, że jednak tak, gdyż wiem, iż wydarzyło się to nim jeszcze zacząłem się bawić łukiem i strzałami oraz jeździć konno. Bawiłem się akurat samotnie za obozem, kiedy je usłyszałem. Brzmiało to tak, jakby mnie ktoś wołał. Sądziłem, że to moja matka, ale w pobliżu nikogo nie było. Zdarzyło się to nie jeden raz i zawsze się bałem; pędziłem zaraz do domu.

Kiedymiałem pięć lat, dziadek zrobił mi łuk i parę strzał. Trawa była soczysta i jeździłem na koniu. Nadciągnęła burza stamtąd, gdzie zachodzi słońce; wjeżdżałem właśnie do lasu rosnącego nad strumieniem, gdy zauważyłem, że na gałęzi siedzi ogromna mucholówka. To nie sen, tak było. Już miałem strzelić do niej z łuku, który zrobił mi dziadek, gdy ptak przemówił.

– Dokoła chmury są jednostronne – powiedział. Może znaczyło to, że wszystkie chmury spoglądają na mnie. Potem dodał: *Posłuchaj! Głos cię woła!*

Spojrzałem wtedy na chmury. Zobaczyłem dwóch ludzi zbliżających się z głowami pochylonymi jak spadające ukośnie strzały. Kiedy tak opadali, śpiewali świętą pieśń, a grzmot brzmiał niczym bębny. Zaśpiewam ci ją. Pieśń i bębnienie brzmiały tak:

*Zobacz, święty głos cię woła,
Po całym niebie woła święty głos.*

Sledziłem zapatrzony. Pochodził z miejsca, w którym żył Biały Olbrzym (północ). Ale kiedy byli tuż przy mnie, zawrócili tam, gdzie słońce zachodzi i nagle zamienili się w gęsi. Wkrótce zniknęli i wtedy spadł deszcz z porwistym wiatrem oraz głuchym dudnieniem.

Nikomui nie mówiłem o tej wizji. Lubiłem o niej rozmyślać, ale bałem się ją opowiedzieć.

Przełożyli Marek Maciołek i Marek Nowocień

ZNANI I NIEZNANI

WALAPAI

Nazwa pochodzi od oryginalnego słowa *Xawálapáty* „lud sosnowego drzewa” jak podaje J.P. Harrington. Zвани także:

E-pa- przez A. Hridlička w 1906 jako ich nazwa własna.

Gualiba- przez Garcesa w 1776 jako nazwa Indian Yavapai.

Hawalapai – przez Curtisa (1907-9).

Iagvallapai – przez Garcesa w 1776.

Matávéké-Paya – przez Corbusiera MS co znaczy „ludzie na północy” (?) jako nazwa Yavapai.

Oohp – przez Ten Kate w 1885 jako nazwa Indian Pima.

Páxuádo áméti – przez Gatscheta w 1886 jako nazwa Yavapi, znaczy „ludzie z daleka w dole rzeki”.

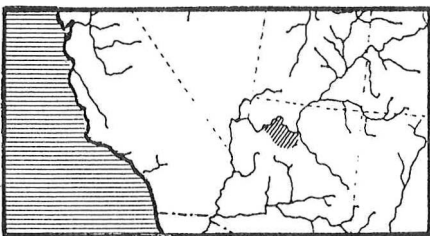
Setá Kóxniname – przez Ten Kate w 1884 jako nazwa Hopi.

Tábképáya – przez Gatscheta w 1883 jako nazwa Yavapai, skrócona forma od Matávéké-Paya.

Tiqut-Llapais – przez Domenech w 1860.

Język: Walapai należą do **jumańskiego** odłamu **hokańskiego** grupy językowej i są blisko związani z Havasupai, trochę mniej z Yavapai.

Rozmieszczenie: Zamieszkiwali tereny nad środkową częścią rzeki Kolorado, pomiędzy Sacramento Wash a National Canyon, ciągnąc się na południe aż do Bill Williams Fork.



Podgrupy i wioski:

Mata'va-kopai (północni ludzie); odłami północnozachodni.

Soto'lve-kopai (zachodni ludzie); Góry Cevbat i zachodnie tereny Colorado.

Ko'o'u-kopai (ludzie mesy); odłami północnocentralni.

Nyav-kopai (wschodni ludzie); obszar na wschodzie, gdzie kończy się kanton Fruxton, przechodząc w drogę do doliny Hualpai.

Hakia' tee-pai (?) lub **Talta'l kuwa** (trzcina?); wokół gór Mohon.

Kwe'va-kopai (południowi ludzie).

Hua'la-pai, Howa'la-pai (sosnowi ludzie); na północnym końcu gór Hualpai, rozciągając się w nierównym półokręgu ze wschodu na zachód.

Historia: Prawdopodobnie Walapai spotkał już w 1540 roku hernando de Alarcón, a na pewno spotkali ich Marcos Fartana de Los Godos w 1598 i Francisco Garcés w 1776. Od tego okresu ich historia niewiele się różniła od innych jumańskich plemion.

Liczebność: W 1928 James Mooney oszacował, że w 1680 roku żyło 700 Indian Walapai. Alfred J. Kroeber i jego pracownicy podają, że w 1880 było ich na pewno ponad tysiąc. W 1889 było ich 728, w 1897 już tylko 634, a w 1910 (co potwierdza amerykański spis ludności) – 504. W 1923 roku - 440, a w 1932 ich liczba wzrosła do 449, zaś w 1937 do 454.

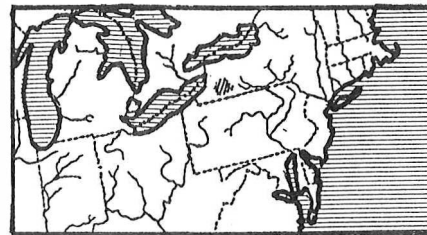
WENROHRONON

Prawdopodobnie znaczy „Ludzie (lub plemię) z Miejsca Pływających Mętów” od słynnych źródeł ropy naftowej w okolicach miasteczka Cuba, okręg Allegany w stanie Nowy Jork.

Język: WENROHRONON należeli do **irokieskiej** rodziny językowej. Prawdopodobnie najbliższą związanymi byli z Narodem Neutralnym.

Rozmieszczenie: Prawdopodobnie początkowo, jak wskazuje wyjaśnienie ich nazwy,

mieszkali w pobliżu źródeł ropy naftowej w okolicach dzisiejszego miasteczka Cuba w stanie Nowy Jork.



Historia: Przez długi czas utrzymywali się na powyższym terenie dzięki sojuszowi, jaki zawarli z Narodem Neutralnym i kiedy później Neutralni zrezygnowali z ich ochrony, Wenrohronon opuścili w 1639 swoje okolice. Otrzymali schronienie wśród Huronów i w głównej grupie Neutralnych, z którymi od tego czasu dzielili losy.

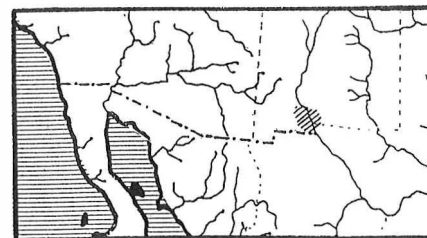
Liczebność: Według badacza Irokezów J.N. B. Hewitta, przed swym upadkiem liczyli od 1200 do 2000 osób. Tych, którzy znaleźli schronienie wśród Huronów było w 1639 roku nie więcej niż 600 osób.

MANSO

Hiszpańskie słowo, znaczące „łagodny”. Zвани także: **Corretas, Lanos.**

Język: Manos należą do **tanoańskiego** odłamu **kiowa-tanoańskiej** grupy językowej.

Rozmieszczenie: W dolinie Mesilla, w sąsiedztwie dzisiejszego miasta Las Cruces w Nowym Meksyku.



Wioski: Mimo że wśród nich założona była misja Nuestra Señora de Guadalupe de los Mansos, to żadna z nazw ich wiosek się nie zachowała.

Historia: Tuż przed wizytą w ich kraju Hiszpanów, Manso mieszkali w solidnych domach, podobnych do domów Indian Pueblo, lecz później zamieszkiwali domy trzcinowe i drewniane. W 1659 roku – jak podaje Fray Garcia de San Francisco, który założył wśród nich misję – zamieszkiwali tereny bliskie El Paso. Później przenieśli się do jednej miejscowości razem z Tiwa i Pivo.

Liczebność: W 1668 roku, kiedy otwarto misję Nuestra Señora de Guadalupe de los Mansos, ich liczba wynosiła ponad tysiąc parafian.

Wyjaśnienia

W listach, jakie otrzymuję na temat „Znanych i nieznanych” często pojawiają się nazwy będące nazwami nie plemion, ale rezerwatów lub miejsc geograficznych, zamieszkiwanych przez danych Indian. I tak:

ASIANI – jedna z nazw konfederacji HASI-NAL.

BEAR RIVER – nazwa rezerwatu MICMAC. CLARSOP – prawdopodobnie chodzi o Indian CLATSOP.

COOLA – prawdopodobnie chodzi o BELLA COOLA.

EEL RIVER – nazwa rezerwatu MICMAC. MINGO – jedna z grup IROKEZÓW (MINGO-WE).

MOINGWENA – jedna z grup Indian ILLINOIS.

PIRO – Indianie Pueblo.

PADUCAH – dawna nazwa KOMANCZÓW (PADOUCAH) pochodząca od nazwy jednej z grup Komanczów PENATEKA.

SAN CARLOS – nazwa rezerwatu APACZÓW. WEAR – prawdopodobnie chodzi o WEA, podgrupę Indian MIAMI.

WENRO – prawdopodobnie chodzi o Indian WENROHRONON.

Miś

O chlorach i jadowitym towarzystwie

Oki!

Wiele tkliwości do Indian sędzi w polskich sercach Indianistów. Ja wiem, że być może, ten artykuł jest lub będzie nieciekawym. Lecz nie dbam o to (tym razem), bo piszę to wręcz z życia, które to toczy się (a dosłownie sunie i przesuwa) za moim płotem...

To jest mój trzeci dom tu, w rezerwacie, w którym przebywam. Tym razem mieszkam w „mieście” (jak mawiają Indianie, którzy mają rancza). Dla mnie Browning to przysłowiowa wieś. Swojsko tu się czuję. Może dlatego, że mama z Kujaw, a tata z Borów Tucholskich.

Jest jednak tu (w Browning) pewien mankament, który mi już dał temat, by go opisać pospiesznie poniżej. Tutaj przerwę – by przeprosić wszystkich tych, których mogę urazić (a nie chcę), bo jest to kolejny artykuł do mojego pasma krytycznych ocen o Indianach...

W Browning niemal wszystkie ulice są pod kątem prostym. Jest to w tym celu, by śmieciarce miały swoje „ulice” gdzie ludzie na tyłach domów mają miejsca na śmieci (w metalowych beczkach). Te owe „ulice” zdobiją każde *down-town* miast w USA. Taka „ulica” w Browning kryje w sobie wiele tajemnic...

Browning jest położone w sąsiedztwie Parku Łodowcowego i Gór Skalistych (zwanych przez tutejszych Indian – „Kregośtupem Ziemi”). Są tam wieczne śniegi. Obraz ten widzę codziennie idąc do pracy, na pocztę itd. I raz pewnego mój wzrok rzuciłem przelotnie właśnie w taką „ulicę” by popatrzeć na śnieg w górach, gdy tymczasem światło słoneczne osiepiło mnie – odbijając się tysiącem blasków... od potłuczonych butelek + kapsli. Teraz unikam wlec często, żeby tam nie patrzeć. Już mnie proszono bym był kompanem do picia (choć wtedy też tam nie patrzyłem). Oczywiście odmówiłem. Tak. Będzie to artykuł o „chlorach i jadowitym towarzystwie” – jak

ich określiam. Ja wiem, że nikt nie jest *perfect*, lecz to jest przemiarka. Może coś teraz o sobie: ostatnio poczyniłem postępek w dziedzinie języka indiańskiego. Praktykę (poza lekcjami) prowadzę mówiąc do siebie, psów i indiańskich dzieci. Jestem rodzajem *shy person* i wstydzę się mówić do dorosłych tzn. *Elders*.

Kiedy Źródło przebywał u mnie ostatnio, to zauważył, że tu nikt nie chodzi pieszo (z wyjątkiem dzieci wracających ze szkoły, psów i „chlorów”, no i nas dwóch z Trójmiasta). Więc byliśmy doskonale zauważeni przez społeczeństwo Browning, a szczególnie przez „chlorów”. Często zaczepiani idąc do pracy, odpowiadałem po polsku (!) – że nie jestem turystą, ani Amerykaninem, że właśnie idę do pracy, a nie na zakupy i w ogóle by mi dali święty spokój. Jednak jeżeli zmuszali mnie do dalszej konwersacji (to się niecierpliwie denerwowałem) to wtedy polskie bluzgi skutkowały. Jednak kiedy mieszkam w mieście, przestałem się do nich odzywać. Zawsze staram się ich unikać, lecz ich ciekawość mnie dopada, bo jestem inny (tzn. mam inną twarz jak inni Indianie, czy to biali Amerykanie). Często mnie to kosztuje (uchodząc im z drogi) wędrowkę na drugą stronę ulicy...

Browning zamieszkuje większość Indian Blackfeet, którzy otrzymują od rządu zasiłek pieniężny. Suma ta jest godna, by utrzymać rodzinę w godziwym stanie + samochód. *Food stamps* otrzymują by kupić żywność, lecz to jest suma by się idealnie nalykać. Nie jestem wrogiem alkoholu, wszystko jest dla ludzi. Lecz w „ulicach” żyją ludzie, którzy żyją *every day*. „Chlory” posiadają swoje „szlaki”. Jeden z nich prowadził do sklepu (w którym pracuję). Przed sklepem są znaczne ilości samochodów (bo sklep jedyny w rezerwacie, na drodze ku Kanadzie), lecz jest także znaczna liczba tabliczek z napisami *No soliciting* oraz *No advertising*. Lecz „chlory” grzeją plecami ściany sklepu, w towarzystwie masy bezdomnych psów. Obraz to opłakany. To nie jest warkocz żartu. Wcześniej, kiedy mieszkalem poza Browning to dawa-

łem czasem „chlorom” zapytane 25 centów. Lecz teraz kiedy mieszkam w „mieście”, przestałem rozdawać pieniądze, bo jedna z takich „ulic” jest właśnie widoczna z mojego okna w kuchni. Już miałem kilka niemiłych wizyt „chlorów”, w nocy. Zaczęło mi się to nie podobać. Często ci ludzie potrafią być udręką, nękać mnie pytaniami o monetę. Często im pokazywałem plecy – ma drań na piwo i tanie wino, to dlaczego pyta się o monetę skoro dziećmi głodne, a sam nie ma honoru by iść do pracy! To nie jest lenistwo. To wlosna w Browning czyli „żer na turystach”... *No advertising?* „Chlory” są wizytówką rezerwatu. Tu widać dwa światy: jeden to bogactwo, a drugi to pożądana bieda, którą „chlory” sobie obrali. Są to właściwie ułamki człowieka, bo zatracili w sobie – kim są, a kim byli ich dziadowie. Dużo z tych ludzi nie ma domów. Żyją z psami na ulicy lub autostradzie. Czasem mi ich żal, bo przecież wiele tu deszczu i blizzardów (tornado też bywają), a zima długa...

Dziś odkryłem jak bez skrupowania mogę do nich rozmawiać. Kluczem jest indiański język (nie znają go wcale, jak i większość Indian tutaj). Dziś mijając ich pozdrowiłem ich z uśmiechem mamroczać słowa w języku Czarnych Stóp. Skutek był odczuwalnie piorunujący – koleś zaniemówił, a ja przemknąłem w szybkim kroku. Czulem wyraźną ulgę. W drodze powrotnej znów mnie czekało „przywitanie”, bałem się że eksploduję i im coś odpowiem niegodziwego. Lecz i tym razem uraczyłem ich uśmiechem i „obsypałem” językiem ludzi, którzy tu byli dawno wcześniej. Jeśli by ktoś z nich odpowiedział w tym języku, to bym się zatrzymał i próbować z nimi rozmawiać, lecz oni wciąż tkwili w angielskim, wobec tego znów pokazałem plecy. Nikt mnie nie zaczepił, a ja naprawdę nie zważałem, czy oni są gotowi by mi nakopać w tyłek.

Dwie godziny później rozmawiałem o tym z moim nauczycielem, czy czasem się nie narażam odpowiadając im w ten sposób? On się tylko uśmieł i stwierdził, bym się tym nie przejmował.

Stwierdziłem wtedy, że różnica między „chlorami” z Pine Ridge a Browning polega na tym, że ci pierwsi obrzucają cię (czytelniku) słowami – *Fuck yourself* albo *stupid fuck*, czasem bywa i gorzej (jeśli nie obdaruje się ich o zapytaną 25-centówkę – a jeśli im się coś wręczy to zapytają o więcej). Blackfeet przynajmniej nazwą cię kuzynem, bratem, partnerem lub *per str.* Na pożegnanie nie słyszy się przekleństw, jednak potrafią być tak przylepni (dosłownie), że czeplają się okien samochodów, kiedy one odjeżdżają z parkingu i wtedy łatwo o wypadek...

Są rezerwaty, że nie sprzedaje się tam alkoholu. Lecz tutaj?... Autostradę do Calgary zdobiją (na terenie rezerwatu) liczne krzyże. To tam mieszka pamięć tych, co polegli w walce z samym sobą...

To nie jest komiks, to życie które się przesuwa, tuż przed moim nowym domem. Jeśli chcesz pić, drogi czytelniku – *do it*. Jeśli kochasz Indian – *do it*.

Lecz przeczytaj sobie jeszcze raz powyższe słowa, co cię czeka w przyszłości (jeśli jesteś słaby), później rzuć spojrzenie w lustro i zadań sobie trud, pytając siebie – czy to jest duchowa droga? Nie trzeba wcale przyjeżdżać do rezerwatu, by sobie odpowiedzieć na to czarujące pytanie.

Cichy Mokasynek
Browning, Montana
MA-TSI-YIK-KA-PI-SAI-KI'SOM
(Frog Month) czyli kwiecień '94

PS 1. Oren – to imię mojego przyjaciela, razem pracujemy w sklepie. To Oren odgania „chlorów” od ścian sklepu (ze względu na opisane wcześniej tabliczki). Pijaki tego nie lubią. Oren boi się więc parkować samochód przed sklepem (na czas pracy), bo się obawia, że „chlory” wytlukną mu szyby w *pick-upie*.

PS 2. Przepraszam tutaj wszystkich, którzy mogą się tu czuć urażeni. *Sorry...* Życie to jest zasypane smutkiem i bezlitośnie głupe. To Halloween bez maski...

— Jacek

Pięć powodów, dla których warto pisać do gazet

1. Jeśli chcemy, by nasza (?) telewizja emitowała filmy i programy o Indianach, by w radiu nadawano audycje na ich temat i indiańską muzykę, by ukazywały się artykuły i książki o tematyce indiańskiej – musimy informować osoby, od których to zależy, że są ludzie, którzy na to czekają. Podkreślamy, że jest nas w kraju wielu, że jesteśmy aktywni i wemy, czego chcemy. Środki przekazu coraz bardziej liczą się z opiniami swoich odbiorców. Jeżeli więc uważamy, że o Indianach mówi się i pisze za mało lub źle – domagamy się w listach, telefonach i rozmowach, by spełniano nasze oczekiwania.

2. Jeśli chcemy, by dobrych programów i artykułów o Indianach było więcej – powinniśmy za nie dziękować, prosić o powtórki, stawiać za wzór innym. Ich autorzy na pewno chętniej powrócą do tematu, gdy będą wiedzieć, że ich praca jest dostrzegana i doceniana. Im więcej podziękowań do nich dotrze, tym większa szansa na spełnienie naszych oczekiwań. Gdy możemy, ułatwiamy im pracę – proponujemy interesujące nas tematy, przekazujemy posiadane informacje i udostępniamy swoje materiały.

3. Jeśli chcemy, by autorzy audycji i artykułów poświęconych Indianom (i ich miłośnikom) nie nadawali beztrąsko informacji fałszywych i przekręconych, by unikali błędów, taniej sensacji i powielania fałszywych stereotypów – musimy wyłapywać takie sytuacje i protestować przeciwko nim. Jeśli możemy – prostujemy nieprawdziwe wiadomości, dołączamy informacje o wiarygodnych źródłach lub adresy osób, które wiedzą na dany temat więcej. Prawo prasowe zobowiązuje do rzetelności i prostowania błędów.

4. Jeśli uważamy się za przyjaciół Indian – powinniśmy zdać sobie sprawę z tego, że jest to jedna z najprostszych metod, by im pomóc. Indianie podkreślają często, że każdy z nas może zrobić dla nich

najwięcej w swoim środowisku i społeczeństwie. Nasze listy i telefony mogą przyczynić się bezpośrednio do popularyzacji wiedzy o Indianach za pośrednictwem środków masowego (!) przekazu i zwrócenia uwagi innych na te sprawy, które dla Indian i dla nas samych są najważniejsze. Nawet pisząc „zwykły” list, można poczuć się przyjacielem Indian.

5. Jeżeli chcemy sprawdzić swoją wiedzę lub sprecyzować swoje poglądy na temat różnych spraw dotyczących Indian, jeżeli pragniemy nauczyć się wypowiadać publicznie (nie tylko na temat Indian) i chcielibyśmy, by inni brali nasze opinie pod uwagę – to pisanie listów jest skutecznym sposobem na naukę. Przy odrobinie wiedzy, talentu i szczęścia możemy uzyskać pewien wpływ na kształtowanie obrazu Indian w naszym kraju, możemy zasłużyć na uznanie otoczenia (i samych Indian), poznać interesujących ludzi i zdobyć nowych przyjaciół.

Marek NowoCIEŃ

Poniżej drukujemy pełen tekst listu do redakcji „Gazety Telewizyjnej” (ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa), opublikowanego z małymi skrótami dnia 19 sierpnia 1994 roku pod tytułem *Bladym twarzom*.

Wielkie dzięki dla autorów programu 2 Telewizji Polskiej, że obok cotygodniowej porcji westernowej fikcji – z „czerwonoskórymi dzikusami” w tle – znaleźli także czas (i to o przyzwoitej porze) na emisję filmu dokumentalnego USA *W duchu Szalonego Konia* (18 lipca, 19.00). Film to niecodzienny, bowiem jego bohaterami – i autorami zarazem – są współcześni Indianie, opowiadający o swojej walce, nierzadko dosłownej, o zachowanie swych plemiennych kultur i świętych ziem przodków.

Z całym szacunkiem dla staraję Kevina Costnera, czy Vala Kilmera – żaden biały aktor, nawet nawłęższy przyjaciel Indian (a co dopiero „twardziele” pokroju Johna Wayne’a), nie jest w stanie ukazać wszystkich zakamarków duszy Indianina, jego przywiązania do Matki Ziemi i szacunku dla tradycji. A już na pewno nikt nie jest w stanie uczynić tego z takim przekonaniem i autentycznością, jak oni sami – narrator filmu, lakocki tradycjonalista z rezerwatu Pine Ridge, Milo Yellow Hair, wychowany u stóp świętych Czarnych Gór (Black Hills) profesor i pisarz Vine Deloria, założyciel Ruchu Indian Amerykańskich (AIM) Dennis Banks, czy uwieczony od 18 lat bojownik o prawa Indian, Leonard Peltier.

To właśnie w ich mądrych i nierzadko bolesnych dla nas – białych – słowach oraz w zamysłonych, jakby zapatrzonych gdzieś daleko (w góry?, w przeszłość?) twarzach ujawnia się całe piękno i siła indiańskiej kultury, która od setek lat opiera się zaborczej i niszczytelnej cywilizacji Zachodu. To w kontrastach między gwałtownością archiwalnych zdjęć z indiańskich demonstracji w Wounded Knee czy Waszyngtonie, a wiecznym spokojem Czarnych Gór, które „nie są na sprzedaż”, kryje się cały dramatyzm losów i źródło niezwykłej determinacji Pierwszych Amerykanów.

Wielka szkoda, że w telewizyjnej wersji tego pouczającego dokumentu zniknęły

z ekranu napisy z nazwiskami pojawiających się w nim potomków tytułowego bohatera Lakotów Crazy Horse’a, najwybitniejszych często tubylczych Amerykanów naszych czasów. I szkoda troszkę, że dobra tłumaczka zdecydowała się na zbędne i infantylne nieco spolszczenie indiańskich nazwisk (po co – czy ktoś tłumaczy nam, co znaczą nazwiska: Armstrong, Newman, czy Longfellow?).

W „dziesiątkę” trafiono z czasem emisji filmu. Miała ona miejsce w przeddzień spotkania miłośników „Przystanku Alaska” w Olecku (w seriale tym Indianie to wreszcie sympatyczni i normalni ludzie) i tuż przed osiemnastym już Złotem Polskich Przyjaciół Indian pod Białymstokiem. A także w momencie, gdy w USA odbywa dyskusja na temat możliwości uwolnienia Leonarda Peltiera i uchwalenia ustawy o zwrocie Indianom Czarnych Gór.

Filmem *W duchu Szalonego Konia* Indianie oślarowali nam nie tylko godzinną lekcję prawdy o sobie. Była to też jakże uniwersalna lekcja historii, „głębokiej” ekologii, etyki i patriotyzmu. Podobnych filmów jest więcej i z pewnością warto byłoby pokazać je nam, zagu bionym i jakże często nieświadomym swej ignorancji, „bladym twarzom”.

Marek Nowocień, Zabkowie Śl.
Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Indian

Nowy film o Wounded Knee '73

Pod koniec roku telewizja kablowa TNT zapowiedziała premierę filmu telewizyjnego *Lakota Woman* („Lakotka”). Jest to historia okupacji Wounded Knee w 1973 roku, oparta na książkowych wspomnieniach jej uczestniczki, Mary Crow Dog (obecnie Mary Olguin) z rezerwatu Rosebud.

Choć 90% z około 100 ról w tym filmie grają Indianie, to przedstawiona w nim interpretacja historycznej już okupacji budzi liczne kontrowersje – przede wszystkim

wśród samych Indian. Uczestnicy i świadkowie protestu AIM i tradycyjnych Oglólów krytykują reklamowany jako opowieść o autentycznych ludziach i wydarzeniach film za rozmaite uproszczenia, wybielanie działaczy AIM i „rozdrapywanie starych ran”. Mary Olguin broni się, że choć spodziewała się dyskusji wokół jej subiektywnej wersji tej historii, to uważa ją za autentyczną i wartą przypomnienia. Być może z czasem film ten pokaże i nasza TV.



Amos Boone

W numerze 3(23) Jesień 1993 na stronie 43 zamieściliście „List z więzienia” od Amosa Boone. Pisał on o swojej sytuacji, a Wy poprosiliście o wysyłanie listów do Amosa z poparciem. Zrobiłem to, po czym prawie zapomniałem o sprawie (nie spodziewałem się odpowiedzi), gdy parę dni temu dostałem list od Amosa. Przepraszam za zwłokę i jest bardzo zaskoczony listem z Polski - jak mówi - nie wiedział, że ktoś na świecie interesuje się jeszcze Indianami. Prosi mnie o przesłanie numeru **Tawacinu** by mógł zobaczyć, jak wygląda nasze pismo.

Z jego listu wywnioskowałem, że:

- nie miał pojęcia o zamieszczeniu jego listu w **Tawacinie** i w ogóle o wysłaniu go do Polski;
- nie otrzymał żadnych listów z Polski, prócz mojego.

I to drugie wydaje mi się o wiele poważniejsze. Czyżby rzeczywiście interesowały nas tylko barwne stroje i obrzędy indiańskie, a oni sami są to są, nie będzie ich to też dobrze?

Rozumiem gdy chodzi o pisanie petycji w sprawie np. Indian w Ekwadorze wysiedlanych ze swoich terenów, kiedy każdy myśli: *mój głos i tak nikt im nie pomoże* (?), ale w sytuacji kiedy mamy do czynienia z konkretną osobą? Amos nie prosi nas o pieniądze, a o parę słów od przyjaciela. Powiedział mi, że nigdy nie dostał osobistego listu od nikogo, mój był pierwszy. Bardzo chciałby dostać więcej listów, zwłaszcza od dziewcząt.

Jeżeli możecie, podajcie jeszcze raz jego adres:

AMOS "WHITE THUNDER" BOONE
16892008 (4G3)
P.O. BOX 33
TERRE HAUTE, INDIANA 47808-0033
USA

Paweł Głogowski
Nowy Dwór Mazowiecki

Otwieranie oczu

Przez całkowity przypadek trafiłem na ślad działalności Towarzystwa Przyjaciół Indian. W tej chwili jestem po lekturze mojego pierwszego numeru Waszego pisma. Nie piszę, że jestem wzruszony, oczarowany, zachwycony - myślę, że choć odrobinę stałem się mądrzejszy. Otworzyliście mi oczy na teraźniejszy świat współczesnych Indian. Przecież potomkowie tych wspaniałych czerwonoskórych wojowników broniących własnych krain, wciąż żyją. Żyją i walczą o to, co utracili przez przybycie białych ludzi. Łuki, strzały i karabiny straciły na znaczeniu. Starcie odbywa się na płaszczyznach społeczno-polityczno-prawnych. Cóż, niewdzięczne to tereny, szczególnie dla tych, którzy nie zawsze mają na nich dobrą orientację, którzy wierzą w uczciwość i sprawiedliwość. Etyka postępowania ludzkiego polityce jest raczej obca. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie czytając artykuły Waszej gazетки. Tam na górze, wśród grup rządzących, wielu ludzi uważa, że lepiej aby Indianie zostali bohaterami opisujących przeszłość książek; jako aktualny, żyjący problem są zbyt niewygodni. Spróbujmy im pomóc, tak jak każdy z nas może.

Krzysztof, Łódź

Człowieku, ja też chcę

Tylko na początku chciałabym poznać to pismo. Więc wysyłam niezwłocznie egzemplarz i powiadom mnie o warunkach prenumeraty. Nie potrzeba chyba żadnych deklaracji typu: *tak, interesuję się kulturą Indian od 4 roku życia*, podpisanych przez matkę, ciotkę i księżną proboszcza. Czekam z niecierpliwością.

Anna, Zarzecze

P.S. Jeśli to nie jest głupi kawał, to fantastycznie, że coś takiego działa w Polsce.

Nie tylko słowo

Napisałam do Was, bo gdzieś głęboko mam nadzieję, że mi pomożecie przybliżyć się do tamtych czasów. Szczerze mówiąc, nie liczę na zbyt wiele, bo takich listów musi przychodzić do Was sporo, może mojego nawet nie przeczytacie. To nic. Będę wdzięczna choćby za to, że mogłam to z siebie wyrzucić i z kimś się podzielić, to naprawdę pomaga. Życie staje się bardziej wartościowe, gdy ma się w nim jakieś cele, ja taki mam i postaram się go zrealizować. Indianie - to nie tylko słowo, to wspaniałe kawałki historii, który w moim sercu będzie ukryty na honorowym miejscu.

Pozdrawiam i dziękuję

Karolina, Siedlce

Robić coś pięknego

Zainteresowałam się Indianami kilka lat temu po przeczytaniu książki *Księga Indian* [Ewy Lips] i zaczęło się. Był to odskok od szarości panującej w moim życiu. Ta jedyna książka nauczyła mnie szacunku do ludzi, a przede wszystkim do przyrody i wszystkiego, co z nią jest związane. W ten sposób interesując się nie tylko Indianami, ale i ludźmi będącymi braćmi świata, a nie jego wrogami stałem się tolerancyjny i - z czego jestem dumny - ekologiczny.

Uważam, że wy rozpowszechniając indiańską filozofię nawołującą do życia w harmonii z naturą, robicie coś pięknego mogącego nie tylko pomóc zrozumieć ich życie, ale zarazem pomóc przyrodzie.

Będąc uczniem ogólniaka widzę ludzi narkotyzujących się i pijących, dla których szczytem marzeń jest libacja alkoholowa zakończona pokrywaniem trawnika wymiottami. Niestety, takich ludzi jest coraz więcej, gardzących tymi, co się przed tym domem pogrzebowym bronią. Część z nich można by z tego wyrwać pokazując im coś naprawdę dobrego, z przesłaniem idącym ku przyszłości.

Może to, co napisałam wydaje się wam głupie, ale tak myślę. Może ktoś powie, że wbrew temu, co wcześniej napisałam, nie

mam szacunku do ludzi, to odpowiem, że szacunek mam, ale gardzę tym złem, które sobie i innym czynią. Rozpisałem się właściwie o rzeczach nieindiańskich, co stało się.

Marcin, Olsztyn

Żyje

Jestem młodym człowiekiem, który interesuje się „indiańską ścieżką” i teatrem. Z połączenia tych dwóch zainteresowań narodził się spektakl pt. *Żyje*. Wykorzystałem w nim oryginalne teksty indiańskich poetów współczesnych w tłumaczeniu Marka Maciołka, z których *Wtdzisz, żyję* N. Scotta Momadaya jest kluczowym obrazem tego spektaklu, jak i mojej postawy.

(...)

Widzisz, żyję, żyję.

Żyję w Jedności z Ziemią.

Żyję w Jedności z bogami.

Żyję w Jedności ze wszystkim, co piękne.

Żyję w Jedności z Tobą.

Widzisz, żyję.

Taki jest ten spektakl. Niektórzy ludzie, po obejrzeniu go mówią, że to nie jest teatr, a misterium, ale mnie nie chodzi o formułę, a o to, co chcę powiedzieć. Zapraszam.

Może i Ty kroczysz tą samą ścieżką? Napisz, odpowiem na pewno.

Mój adres:

PIOTR OSYPIŃSKI
UL. J. MATEJKI 2/1
67-100 NOWA SÓL

Chcę korespondować

Chciałabym, aby napisali do mnie PRAWDZIWI INDIANIE (po polsku lub w miarę prostą angielszczyznę). Listy od „błędnych twarzy” również mile widziane. Odpiszę na każdy.

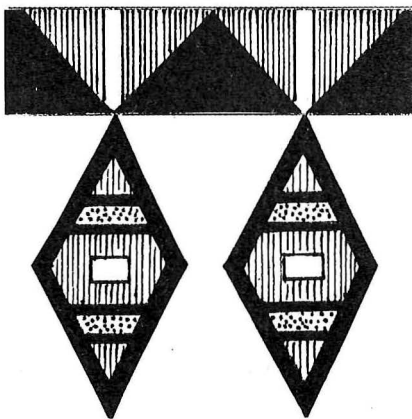
ALICJA ROZUMIŁOWSKA
UL. ZWYCIĘSTWA 29/58
15-703 BIAŁYSTOK

Koralikowe „zrób to sam”

Książeczka zawiera szereg informacji o różnych technikach zdobienia koralikami, omawia podstawowe przybory, takie jak koraliki, igły, nici i krosna. Autor w bardzo praktyczny sposób przedstawia metody wyszywania i tkania koralikami, objaśnia jak wykonać rozetkę, pasek czy łańcuszek. Wprowadza nowość: papier koralikowy do rysowania wzorów. Opowiada o „Koralikowym Duchu” i co to jest „Motyl Oglalów”, a także „ścieg pejetłowy” i „stokrotka”. Wszystko dokładnie i bogato ilustrowane. Drugą połowę książeczki wypełniają wzory z różnych kultur i regionów Ameryki Północnej. Jedyne takie opracowanie po polsku!

Wiesław K. Niedźwiadek: *Indiańskie techniki zdobienia koralikami*. Wyd. TIPI. Wielichowo 1992, cena 22.000,-

INDIAŃSKIE TECHNIKI ZDOBIENIA KORALIKAMI



WANTED APACHE!

Klub „Apache Warrior” przy Wyższej Szkole Oficerskiej Służb Kwatermistrzowskich w Poznaniu zaprasza miłośników Indian, zwłaszcza plemion Apaczów.

Zamierzamy założyć zespół artystyczny tradycyjnych tańców i pieśni indiańskich.

Program zainteresowań członków klubu obejmuje: historię, kulturę – etnografię Indian USA (szczególnie Apaczów), obrzędy i tańce, broń, ubiory indiańskie, sztukę walki i jazdę konną, korespondencję z Indianami w USA, obozy letnie i zimowe.

Zapraszamy:

WSOSK – Zakład WFu
Klub indiański „Apache Warrior”
ul. Bukowska 34
60-811 Poznań
w każdą środę od 18-20.



WASHITA W SPODKU

9 października br. o godzinie 17.30 w katowickim Spodku odbył się koncert zespołu „Hey”. Udział w nim wzięli również zespół „Washita”, który przy tradycyjnej muzyce indiańskiej, wśród dymów i radosnych okrzyków zaskoczony publiczności odtańczył *fancy dance*.

Materiał z koncertu posłuży do nagrania promocyjnej kasety wideo zespołu „Hey”, na której znajdzie się też zespół „Washita”.

„Washita” przedstawia stylizowane tańce zarówno dawnych, jak i współczesnych Indian, w pełni na żywo.

Zespół tworzą tancerze: Robert Plestecki (kierownik zespołu), Bogdan Victorio Zdanowicz, Tomasz Bizon Jarosz, Mirosław Słuks Bogusz oraz Aleksander Iktolek Danyluk (śpiew, flet) i Wiesław Niedźwiadek Karnabal (bęben, śpiew).

Adres kontaktowy:

Robert Plestecki
ul. Fabryczna 20/34
15-483 Białystok

Zwierzzenia Cienia

5. Nie jestem dobrym blegaczem. Prawdę mówiąc, nigdy za bardzo nie lubiłem blegania. A jednak być może je polubię. Dzięki Indianom, oczywiście. Dzięki ich blegom, które kilka lat temu nam zaproponowali. Nie raz jeszcze zapewne powracać będziemy wspomnieniami do lata 1990 roku i do Świętego Blegu, którego uczestników gościliśmy wówczas przez tydzień w naszym kraju. Nigdy przedtem my – polscy indiańscy – nie mieliśmy okazji do tak bezpośredniego kontaktu z Indianami. Nigdy potem też nie przyjmowaliśmy ich tak długo i tak licznie. Nic więc dziwnego, że Święty Bleg – Europa '90 zapisał się na trwałe w naszej pamięci. Co ważniejsze, ciepłe przyjęcie, z którym spotkali się jego indiańscy (i nie tylko) uczestnicy sprawiło, że właśnie bleg z Londynu do Moskwy – w tym jego nasze, polskie etapy – wspomniany jest zwykle jako jeden z najlepszych w wieloletniej historii indiańskich blegów sztafetowych. I dzięki temu zapewne otrzymujemy propozycje brania udziału w kolejnych tego typu imprezach. Dzięki indiańskim blegom mamy większą niż dotąd możliwość poznawania Europy i Ameryki, ale też swego własnego kraju i – siebie. Dzięki nim odkrywamy przyjemność i głębszy sens blegania.

6. Choć u źródeł blegów leżą indiańskie tradycje i koncepcje pojmowania świata, i choć zwykle towarzyszą im elementy współczesnej, panindiańskiej obrzędowości, to przesłanie ich jest uniwersalne i – można by powiedzieć – „humanistyczne”. Blegi, wymagając fizycznego poświęcenia i duchowego skupienia, są zarazem okazją do głoszenia – i realizowania we własnym gronie – idei porozumienia między ludźmi różnych kultur i narodów, idei harmonii człowieka z jego otoczeniem – Matką Ziemią. Co ważne, wartości te nie tworzą się sztucznie, lecz rodzą się w sposób naturalny – we wspólnym wysiłku, pokonywaniu barier między ludźmi i trudności organizacyjnych. Stwarzając typowe dla tego rodzaju przedsięwzięć wyzwania zespołowe i indywidualne, blegi są pouczającym doświadczeniem i – poza wszystkim – niezwykłą przygodą.

7. Do refleksji na temat naszego „Indiańskiego” blegania skłonił mnie niedawny Bleg Przyjaźni Narodów '94. Przez dwa tygodnie na przełomie czerwca i lipca ponad czterdzieści osób z Europy Środkowej (w tym – kilkanaście z Polski) i „wszechobecny” Słychawk z plemienia Czarnych Stóp blegli z symbolizującą jedność ludzi i wszystkich stworzeń pałeczką. Blegli przez ziemię, na których więcej dotąd było sporów, wojen i zniszczenia, niż wzajemnego zrozumienia i twórczej energii. Wyruszywszy z koszalińskiego Centrum Przyjaźni Indian, pokonali przez Polskę, Niemcy, Czechy i Słowację półtora tysiąca kilometrów, kończąc swój maraton u podnóża Tatr. Byłem wśród nich przez pierwszy tydzień. Obserwowałem – i czułem sam – jak przełamuje się bariery między ludźmi i własne słabości, jak rodzą się nowe znajomości i jak powstaje to „coś”, co decyduje o ostatecznym sukcesie – blegowa wspólnota. I dlatego po tygodniu spędzonym za biurkiem zdecydowałem się wrócić na trasę Blegu. Pech sprawił, że choć kilka razy dzieliły mnie w Czechach od Blegu tylko minuty, to nie spotkałem się z nim. Do dziś żałuję i zazdroszczę tym, którzy byli na nim do końca. I cieszę się, że już myślą o jego dalszym ciągu.

8. Nigdy nie będę maratończykiem. Po kilkuset metrach, gdy mięśnie i płuca boleśnie sygnalizują swój zwiększony wysiłek, zaczynam zastanawiać się, po co mi to bleganie i jak daleko jeszcze do końca etapu. Ale o to przecież chodzi – o wewnętrzne przełamywanie się i odnajdywanie celu w tym, co się robi (głównie wtedy, gdy nie jest to „sama radość”). I nie dotyczy to wyłącznie blegania. Nie bardzo mogę sobie wyobrazić, jak w mroźnych górach Alaski czy w upale pustyni Arizony, można blegać po kilkadziesiąt kilometrów. A jednak znam ludzi, którzy to potrafią. Jeszcze nie tak dawno zastanawialiśmy się wspólnie, ile jesteśmy w stanie przebiec i czy całe to bleganie „po indiańsku” ma sens. Oni już znają odpowiedź. Ja na jednym z bardziej męczących podblegów, zamiast liczyć kroki, zacząłem wyliczać w pamięci kolejne lata spędzone w więzieniu przez Leonarda Peltiera. I, przyspieszając, chyba zacząłem ją znajdować.

KSIAZKI KSIAZKI KSIAZKI KSIAZKI KSIAZKI KSIAZKI KSIAZKI KSIAZKI

LITERATURA PIĘKNA

CZARNY ŁOŚ – *Opowieść indiańskiego szamana.* Dzieje świętego człowieka Siuksów Oglala opowiedziane poprzez Johna G. Neihartha (Płomienną Tęczę). ZYSKI S-ka Wydawnictwo. Poznań 1994, stron 220, cena 115.000,-

Tylko ziemia przetrwa... Mała antologia dawnej współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. SOK Sztum 1992, stron 140, cena 37.000,-

Thomas Berger: *Mały Wielki Człowiek.* [powieść] Wyd. Wojciech Pogonowski. Warszawa 1991, stron 480, cena 64.000,-

RĘKODZIEŁO

Wiesław K. Niedźwiadek: *Indiańskie techniki zdobienia koralikami.* Tipi, Wielichowo 1992, c. 22.000,-

HISTORIA

Maciej Zimiński: *Legenda w indiańskim pióropuszu.* Wyd. Spółdzielcza. Warszawa 1991, stron 150, cena 26.000,- Sylwetki sławnych postaci Joseph Brant, Sitting Bull, Tecumseh, Sekwoja, Geronimo, a także Sat Okh i Karol May. Sporo fotografii, także kolorowych.

Izabella Rusinowa: *Indianie, traperzy i osadnicy w dziejach amerykańskiego Zachodu.* Warszawa 1990, stron 258, cena 33.000,-

Ameryka Indiańska. Spotkanie dwóch światów. (Katalog wystawy, okolicznościowe eseje + fotografie) Poznań 1992, stron 198, cena 56.000,-

Michał J. Rozbicki: *Narodziny narodu. Historia Stanów Zjednoczonych do 1861 roku.* Wyd. Interim, Warszawa 1991, stron 336, cena 56.00

Maria Paradowska: *Wśród Indian i Metysów.* Ossolineum. Wrocław 1989, stron 206, cena 29.000,- Antologia relacji polskich podróżników o tubylczych mieszkańcach Meksyku i Ameryki Środkowej.

Auguste Guinnard: *Trzy lata w niewoli u Patagonów.* [wspomnienia] Wyd. Literackie. Kraków 1988, stron 70, cena 16.000,-

Franz Braumann: *Wśród Indian Guarani. Antonius Sepp von Rainegg 1655-1733.* Wyd. VERBINUM. Warszawa 1989, stron 112, cena 20.000,-

Tomasz Doreste: *Astronauta z Palenque.* BRAMA. Poznań 1994, stron 320, cena 56.000,- Pierwszy tom z cyklu Zaginione cywilizacje opowiadający o niezwykłej kulturze Majów („najbardziej oświecony lud Ameryki”). Książka dla tych, którzy nie zadawalają się prostym stwierdzeniem, że Amerykę odkrył Kolumb, którzy nie poprzestają na

utartych sloganach. Autor w czterech kolejnych częściach (*Odkrywcy. Palenque. Przodkowie. Majowie*) przedstawia hipotezy i fakty dotyczące odkrywania Ameryki, omawia zaskakujące odkrycia architektury Majów i frapujące opowieści o prekolumbijskich lotach kosmicznych. Na koniec: Podobieństwa, które zbliżają narody.

SZAMANIZM

Nevill Drury: *Szamanizm.* Wyd. Rebis. Poznań 1994, stron 160, cena 46.000,- Czym jest, gdzie się narodził, jak się rozprzestrzenił i jakie przechodził ewolucje. Indiańscy medicine men: Czarny Łoś, Brooke Leczący Orzeł, Słoneczny Niedźwiędz. Castaneda i Andrews – szamani czy szarlatani?

Jim Berenholtz: *Podróż w cztery strony.* Mistyczna opowieść o podróży w starożytne tajemnice obu Ameryk. LIMBUS. Bydgoszcz 1994, stron 360, cena 88.000,- Wizjoner, muzyk obrzędowy i podróżnik, Jim Berenholtz (znany w Polsce ze swej muzyki) dzieli się z nami swym mistycznym przebudzeniem i niezwykłą wiedzą. Zaczynając w marszach pokojowych wschodu jako propagator praw ludów tubylczych, podróżuje dalej na północ do Indian Lakota, na zachód do plemion Hopi i na południe do Ameryki Środkowej, gdzie otrzymuje nauki inicjacyjne od nauczycieli Majów i Azteków.

POCZTÓWKI SŁYNNYCH INDIAN

Nr 8 **Low Dog** (Oglala), Nr 11 **Chief Joseph** (Nez Perce), Nr 15 **Lone Wolf** (Kłowa), Nr 16 **Kicking Bird** (Kłowa), Nr 21 **Wolf Robe** (Cheyenne), Nr 26 **Quanah** (Comanche), Nr 29 **Rain in the Face** (Hunkpapa), Nr 36 **Sitting Bull** (Hunkpapa).

Cena 1 szt. (tylko jednej) – 7.000,- Od 2 szt. – 5.000,- Komplet 8 szt. (po jednej z każdego rodzaju) kosztuje 8 x 4.000 = 32.000,- Przy zakupie 5 i więcej szt. tego samego rodzaju – 3.000,-

Pokrywamy koszty przesyłki pocztowej. Prosimy o przedpłatę przekazem lub na konto:

TIPi, Marek Maciołek
ul. Łąkowa 3

64-050 Wielichowo
GBW-BS w Wielichowie
Rk 963549-56531-136

Ze względu na termin dostarczania wpłat przez bank, realizacja zamówień może trwać do 3-4 tygodni. Aby to przyspieszyć można przelać zamówienie listem dołączając kopię przekazu.

PRENUMERATA 1995

Szanowni Prenumeratory,

nieustannie rosnące koszty papieru, druku i energii elektrycznej (spodziewamy się także wzrostu cen za usługi pocztowe) zmuszają nas do nieco radykalniejszego podniesienia ceny naszego pisma. Jeden numer w prenumeracie 1995 roku kosztować będzie 25.000,- (lub 2,50 zł po zmianie nominalów). Prenumerata roczna wynosi 100.000,- (10 zł), półroczna – 50.000,- (5 zł). Liczymy, że uda nam się – jak dotąd bywało – utrzymać tę cenę przez cały rok, bez konieczności dopłat.

Jak zwykle oferujemy możliwość obniżenia kosztów prenumeraty przez wysyłkę co najmniej dwóch egzemplarzy tego samego numeru pod jeden wspólny adres. Szczegóły w następnym numerze.

Systematycznie też pracujemy nad uzyskaniem jeszcze lepszej jakości merytorycznej i technicznej naszego pisma. Na koniec wyrażamy nadzieję, że w 1995 roku **Tawacin** będzie się ukazywał bez opóźnień.

Marek Maciołek

WARUNKI PRENUMERATY

TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena jednego numeru w prenumeracie wynosi 15.000 zł (razem z wysyłką). Prenumerata roczna wynosi 60.000 zł. Oferujemy możliwość obniżenia ceny prenumeraty przez wysyłkę pod jeden wspólny adres co najmniej 2 egzemplarzy TAWACINU. Udzielona bonifikaty powodują wówczas obniżenie ceny do:

liczba egzemplarzy	cena 1 egz. w złotych	cena prenumeraty 1 egz. w 1994 r.
1	15.000	60.000
2-4	14.000	56.000
5-8	13.000	52.000
od 10	12.000	48.000

Wpłaty należy kierować na konto:

MAREK MACIOŁEK, TIPi
UL. ŁĄKOWA 3
64-050 WIELICHOWO
GBW-BS w WIELICHOWIE
RK NR 963549-56531-136

Prosimy dokładnie i czytelnie podawać swój adres na przekazie oraz czego dotyczy wpłata. Przy zmianie adresu prosimy o informację.
NIE PRZESYLAĆ PIENIĘDZY W LISTACI

